



BEZPŁATNA GAZETA STUDENTÓW WYDZIAŁU NAUK POLITYCZNYCH I DZIENNIKARSTWA

BARDZO UNIWERSYTECKIE CZASOPISMO

Mamy nadzieję, że wszyscy poradziliście sobie z sesją i tak jak my radośnie wkraczacie w nowy semestr! :)

Dlaczego nie wrócimy wreszcie na osamotnione wydziały? Jest kilka powodów

Nowe zarządzenie Rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu określa szczegółowe zasady organizacji semestru letniego. Nie jest chyba dla nikogo zaskoczeniem decyzja o kontynuowaniu nauki w trybie zdalnym. Zarządzenie jednak przewiduje bliżej nieokreślone wyjątki i bynajmniej nie będą to zajęcia wychowania fizycznego.

Wszystko co się da, będzie nadal online

Trudno pisać w tym miejscu o zdziwieniu. O czekającym nas roku nauki przed komputerami mogliśmy dowiedzieć się jeszcze przed jego uroczystym rozpoczęciem. Zapowiadała to między innymi rzeczniczka prasowa uczelni, Małgorzata Rybczyńska, podczas rozmowy w lokalnej telewizji WTK. Zasady co prawda zdążyły się jeszcze zmienić, na co wpływ miały głównie te wszystkie czerwone strefy i zalecenia z nimi związane, ale przesłanie pozostało. Cały nadchodzący rok na studiach zdalnych.

Zarządzenie rektora Bogumiły Kaniewskiej z 25 stycznia w najważniejszej dla studentów kwestii tak naprawdę nie zmienia nic. Nauczanie inaczej niż online dopuszczone jest wyłącznie w przypadku zajęć, „które nie mogą być zrealizowane z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość” oraz tych przewidzianych dla ostatnich lat studiów licencjackich i magisterskich. Dokument nie precyzuje jednak, co oznacza, że zajęcia nie mogą być prowadzone zdalnie i z jakich może być to powodów. Wiadomo, że w obu przypadkach ostateczna decyzja należy do rektora. Najpierw jednak odpowiedni wniosek musi złożyć dziekan lub kierownik studiów. Oczywiście o ile uzna to za stosowne. Rektorka nawet uprzedziła przy tym pytania studentów tęskniących za sportem. Paragraf



Kampus Morasko Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

2 punkt 8. zarządzenia stanowi: „zajęcia wychowania fizycznego prowadzi się w formie kształcenia na odległość”.

Studenci też roznoszą choroby

Złośliwi mogliby powiedzieć, że uczelni taka sytuacja jest na rękę, bo oszczędza przecież na rachunkach. Inni zapewne zwrócą uwagę na obecną, nie najgorszą (mimo wszystko!) sytuację epidemiczną w kraju. Bo przecież klasy od jeden do trzy w szkołach podstawowych właśnie wróciły na zajęcia. A gdzie do nich dorosłym i odpowiedzialnym studentom? Miałem latem przyjemność rozmawiać o aspekcie epidemicznym zajęć na uczelni z prorektorem do spraw studiów Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. Argumenty Piotra Słószarza były dość proste, ale i oczywiste. W przypadku szkoły podstawowej mowa zazwyczaj o dzieciakach z jednej dzielnicy. Na uczelni spotykają się osoby z różnych regionów kraju, które nierzadko podejmują też dorywczą pracę.

Poza tym na studentach gospodarza nie cierpi tak mocno, bo rodzice nie

muszą przecież brać wolnego i opiekować się nimi w domu. Przynajmniej w teorii. Nie blokujemy w ten sposób wielu istotnych dla nas wszystkich przedsięwzięć i służb. Już bez większego komentarza zostawmy też kwestie porównania umiejętności technicznych małych uczniaków i właściwie dorosłych studentów. Chociaż tym bardziej praktyka może w tym przypadku zaskakiwać teorię...

Nie ma chińskich studentów i nie ma pieniędzy

Rzecz nie jest tak jasna jeśli chodzi o finanse uczelni. Oszczędności to jedno, brak wpływów i nowe wydatki to drugie. Przykładowo taki Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu nie zarobił dobrego miliona złotych z powodu nieprzyjęcia na studia planowanych 55 chińskich studentów. Poza tym uniwersytety musiały nieco wybulić na środki bezpieczeństwa związane z pandemią i sprzęt. I pewnie tylko część z tych wydatków pokryje ministerialna zapomoga (tak, myślę o kamerze termowizyjnej na wejściu naszego wydziału, która zimą raczej na niewiele się zdaje, chociaż może to ja się nie

znam). Wątpię jednak w oszczędzanie na lockdownie. Tym bardziej, że jak zapewniali przed rozpoczęciem roku prorektor Tadeusz Wallas, budżet naszej uczelni ma się całkiem dobrze i UAM realizuje chyba wszystkie planowane inwestycje.

Względy finansowe mogą co prawda zdecydować o kształcie studiów w przyszłości. Nieoficjalnie mówi się, że formuła zajęć zdalnych zostanie z nami na dobre, choć w dużo mniejszej skali. Dotyczy to chociażby wykładowców nie będących etatowymi pracownikami uniwersytetu. Ściąganie ich na wydział wobec alternatywy w postaci znienawidzonego Teamsa wydaje się być zwyczajnie nieekonomiczne. Takie rozwiązanie przełamuje też inne bariery. Kto nie chciałby uczyć się chociażby o sytuacji społecznej w przykładowym Bahrajnie od przebywającego w Manamie lokalnego naukowca? Takich wyjątków i czerpania z zalet nauki online pewnie nie należałoby przeoczyć. Jeśli chodzi o zajęcia stacjonarne, tutaj z dużą ostrożnością celowałbym w początek kolejnego roku akademickiego.

Krzysztof POLASIK
kpolasik98@gmail.com



Razem czy osobno?
Str. 2

Polecamy



Renesans polskiego malarstwa?
Str. 7



Dwie one – kobieta i artystka
Str. 8



Stary człowiek i może?
Str. 12

Od redakcji

Kochani Czytelnicy!

Zbliża się początek nowego semestru. Wierzymy, że tak jak my świetnie daliście sobie radę z egzaminami w sesji zimowej i nabieracie teraz energii do zmierzenia się z nowymi wyzwaniami :)

Ponieważ na początku roku akademickiego przyjęliśmy do naszej redakcji wielu redaktorów, zdecydowaliśmy, że w tym semestrze nie będziemy prowadzili oficjalnej rekrutacji. Jeżeli natomiast komuś z Was naprawdę zależy, żeby zostać częścią naszego zespołu, prosimy o kontakt na maila: teksty.buc@gmail.com.

Przechodząc do zawartości tego numeru, na pierwszej stronie znajdziecie artykuł Krzyśka, który odpowie na pytanie: dlaczego nie wrócimy na osamotnione wydziały? Justyna popłynęła tekst o samotności i o roli, jaką w naszym życiu odgrywa drugi człowiek. Na kolejnej stronie znajdziecie wywiad Oleksandry z Jędrzejem Szelcem na temat podczerwieni i leczenia przy jej użyciu koronawirusa. Kasia napisała o próbie włamania na jej konto na Facebooku, natomiast Klaudia podjęła się tematu dni wolnych od pracy z powodu menstruacji, który przysługuje kobietom w wielu krajach na świecie. Milena napisała dla Was bardzo ciekawy tekst o fobiach, a zaraz potem Karina podjęła się tematu opisanego jednego z najstraszniejszych domów grozy na świecie. Niezmiennie przeczytajcie także opowiadanie Krzyśka. Luty zdecydowanie jest dla naszych redaktorów miesiącem sztuki! Monet, Frida Kahlo, współczesne nurty w sztuce - o nich napisały Anastasiya, Julia i Darya. Następnie możecie przeczytać recenzję płyty „Medicine At Midnight” Foo Fighters Wiktora. Ostatnie dwie strony należą do działu sportu. Marcin napisał artykuł o zakończeniu współpracy PZPN z Jerzym Brzęczkiem i zatrudnieniu Paulo Sousy. Bartek, wyjątkowo w tym numerze, popłynę tekst o Formule 1, a Kacper o Ryszardzie Szurkowskim.

W nowym semestrze na pewno nie raz Was zaskoczymy. Pierwszej niespodzianki szukajcie w przyszłym numerze. Tymczasem życzę Wam przyjemnej lektury lutowego wydania naszego czasopisma! :)

Redaktor naczelna
Ismena Leśnik



Razem czy osobno?



Razem możemy więcej

Od początku naszej edukacji jesteśmy uczeni, że człowiek jest istotą społeczną. To znaczy, że żyje w określonej zbiorowości, należy do tej społeczności i w wyniku tego posiada pewne przywileje i obowiązki. Ale czy na pewno wiemy, co to znaczy być częścią jakiejś społeczności? Czy wiemy jak budować w niej więzi? A może w ogóle nie są nam one potrzebne?

Bierność społeczna to jeden z bardziej wyrazistych problemów społecznych naszych czasów. Altruizm, zwykła sąsiedzka pomoc czy partycypacja społeczna to hasła, które powoli odchodzą w zapomnienie. Szerząca się idea indywidualizmu, walki o swój byt i zubożenie na sprawy publiczne stały się domeną naszej codzienności. Jedną z przyczyn tego zjawiska jest praktykowana idea konsumpcjonizmu pobudzana dodatkowo przez media. Bardziej chcemy „mieć”, a nie „być”. Mówimy „JA”, a nie „MY”. Chcemy być niezależni i samemu decydować o sobie i swoim życiu. A co kiedy to „JA” już nie wystarcza?

Od kilku lat nasz kraj jest doskonałym przykładem tego, jak niezaangażowane, bierne i obojętne potrafi być społeczeństwo. Obywatele nie chodzą na wybory, nie wierzą w skuteczność związków zawodowych ani swoją osobistą moc sprawczą. Jednakże decyzje władz podejmowane w ciągu ostatnich kilku miesięcy sprawiły, że w Polsce coś pękło, a nasza mapa została przecięta symboliczną bly-

kawicą. Na ulicę wyszła już chyba większość grup społecznych. Byli nauczyciele, ratownicy medyczni, przedsiębiorcy, rolnicy, społeczność LGBT+, media prywatne, a w ostateczności przyszedł czas na każdą Polkę i każdego Polaka. Już nie chodzi tylko o prawo aborcyjne, teraz chodzi o prawo wyboru, decydowania o sobie jako o obywatelu, a także o nas jako o narodzię. Kiedy rząd zabiera nam wolność na raty, kawałek po kawałeczku, nasze „JA” nie wystarczy. Ale czy będziemy umieli odrzucić naszą obojętność?

Kiedy przyszli po Żydów, nie protestowałem. Nie byłem przecież Żydem.

Kiedy przyszli po komunistów, nie protestowałem. Nie byłem przecież komunistą.

Kiedy przyszli po socjaldemokratów, nie protestowałem. Nie byłem przecież socjaldemokratą.

Kiedy przyszli po związkowców, nie protestowałem. Nie byłem przecież związkowcem.

Kiedy przyszli po mnie, nikt nie protestował. Nikogo już nie było.

Prawie osiemdziesiąt lat temu niemiecki pastor luterański Martin Niemöller w obozie w Dachau napisał wiersz pt. „Kiedy przyszli...”. Pokazuje on jak bardzo zamykanie się w naszej szklanej bańce i brak zainteresowania światem może wpłynąć na naszą osobistą sytuację. Żyjemy w siatce licznych powiązań. Efekt motyla jest teraz bardziej prawdopodobny niż kiedykolwiek i to we wszystkich sferach życia. Kiedy nie staniemy w obronie grup, którym dzieje się krzywda, może się

okazać, że za chwilę nasze szkoły staną się wylęgarnią analfabetów, a nie specjalistów. W naszych szpitalach zabraknie wykwalifikowanego personelu, a ludzie znowu zaczną umierać na pospolite choroby. Półki w naszych sklepach zapełnią się drogą żywnością i często importowanymi produktami, bo rodzime firmy upadły. Czy naprawdę dalej możemy mówić, że nie jesteśmy nauczycielami, rolnikami, przedsiębiorcami, górnikami, dziennikarzami czy medykami?

Matka Teresa z Kalkuty powiedziała kiedyś: Największą chorobą naszych czasów nie jest trąd czy gruźlica, lecz raczej doświadczenie tego, że się jest niechcianym, porzuconym, zdradzonym przez wszystkich. Największym złem jest brak miłości i miłosierdzia, okrutna obojętność wobec bliźniego [...]. Obojętność i lekceważenie często wyrządzają więcej krzywd niż jawna niechęć. Dzisiaj potrzebujemy solidarności, potrzebujemy czuć, że jesteśmy potrzebni i że nie jesteśmy wykorzystywani.

Człowiek nie jest samotną wyspą. Potrzebuje drugiego człowieka, aby przeżyć. Świat, mimo że przepelniony innowacjami, jest trudnym miejscem do życia. A nasza bierność i obojętność jedynie to pogarsza. Albert Einstein powiedział: Świat jest niebezpiecznym miejscem nie przez tych, co czynią zło, ale przez tych, którzy patrzą na to i nic nie robią.

Powinniśmy postarać się o to, aby słowa – Kiedy przyszli po mnie, nikt nie protestował. Nikogo już nie było – nie stały się naszą codziennością.

Justyna FURMANIAK
jusfur@st.amu.edu.pl



W tym miesiącu przedstawi Wam się Bartek, który jest z nami dopiero kilka miesięcy, ale na pewno nie raz mieliście przyjemność czytać jego teksty! *Cześć, jestem Bartek i do redakcji BUC-a dołączyłem w tym roku akademickim. Lubię słuchać rocka lat 60. czy 70. (w szczególności twórczość The Beatles), choć od czasu do czasu słucham też bardziej współczesnych wykonawców. Ponadto lubię także ogólnie pojmowaną historię, Formułę 1 oraz filmy Quentin Tarantino. Liczę, że spodoba Wam się lutowe wydanie naszej gazety!*



Wydawca
Wydział nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140

Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelny
Ismena Leśnik
Zastępca redaktora naczelnego
Sylwia Rycharska
Sekretarz redakcji
Krzysztof Polasik
Numer makietałowa:
Sylwia Jabłońska
Wydawca numeru
Ismena Leśnik

Redakcja merytoryczna
Wiktor Pohorecki
Sylwia Rycharska
Ilona Skrzypczak
PR i Social Media
Lidia Dziarkowska,
Natalia Jarońska,
Wiktoria Wesolek

Redakcja
Anna Arabasz
Daria Bajorek
Darya Burdyka
Anastazja Burnel
Maria Chenczke
Adam Chęciński
Zuzanna Czachorek
Julia Czekalska
Katarzyna Drzewiecka
Lidia Dziarkowska

Justyna Furmaniak
Julia Gawłowska
Paweł Głuszynski
Marta Godurkiewicz
Marika Grzech
Milena Guzik
Darya Hurosh
Natalia Jarońska
Bartosz Kabaciński
Julia Kaczmarek
Wiktor Kepiński

Aleksandra Kłosowska
Karina Konys
Filip Kopera
Karolina Kozłowska
Hanna Kulak
Kamil Kwiatkowski
Ismena Leśnik
Kacper Lewandowski
Kuba Lipnicki
Maria Lutkowska
Natalia Łaszewska

Klaudia Michalak
Olga Michalska
Stanisław Mrowicki
Milena Mrozek
Marcin Ostrowski
Wiktor Pohorecki
Krzysztof Polasik
Florentyna Rybczyńska
Sylwia Rycharska
Olga Rydzewska
Wiktoria Różak

Michał Rzeźnik
Karolina Sieradzan
Ilona Skrzypczak
Emilia Szobodzińska
Karina Szymczak
Izabela Tomaszewska
Kacper Tyczewski
Wiktoria Wesolek
Eryk Więsyk
Adrian Wojtasz
Martyna Woźniak

Fotoedytor
Martyna Woźniak
Autor logo
Andrzej Szymczak
Opieka nad redakcją
Red. Lesław Ciesiołka
Skład komputerowy
Tomasz Szukała

Jędrzej Szelc – naukowiec mający tytuł magistra inżyniera optoelektroniki na Politechnice Wrocławskiej oraz stopień doktora w Centrum Badawczym Optoelektroniki Uniwersytetu Southampton w zakresie systemów obrazowania głębokiej podczerwieni. Jest założycielem i prezesem firmy infraSpectra oraz jedną z dwóch osób w Polsce posiadających licencję operatora kamer termograficznych trzeciego stopnia.

Każdy z nas ma co najmniej minimalną wiedzę o promieniowaniu słonecznym, jądrowym czy rentgenowskim. Nieco inne skojarzenia mamy na temat podczerwieni. Na czym ona polega i jakie ma zastosowania w codzienności?

Promieniowanie podczerwieni to promieniowanie elektromagnetyczne. Rozciąga się ono powyżej zakresu światła, które jesteśmy w stanie widzieć, i odpowiada za przekaz ciepła. Prościej mówiąc, to właśnie dzięki niemu możemy czuć ciepło kaloryfera lub słońca. Zastosowanie podczerwieni jest bardzo szerokie. W zależności od obszaru, podczerwień może być stosowana w telekomunikacji (światłowodowy, piloty do telewizora), w badaniach składu chemicznego materiałów (spektroskopia), przez widzenie w nocy (noktowizja) czy przez obrazowanie rozkładu pól cieplnych (termowizja i termografia).

Promieniowanie podczerwone zostało odkryte jeszcze w XVIII wieku przez angielskiego fizyka Williama Herschela. Od tego momentu stosuje się go m.in. w budownictwie czy technice wojskowej. Jakie zastosowanie dla niego znalazł Pan w codzienności?

infraSpectra zajmuje się zastosowaniem termowizji, termografii oraz bezkontaktowych pomiarów temperatur. Te aplikacje bazują właśnie na technice podczerwieni, którą ogólnie stosujemy w przemyśle. Zatem naszymi klientami są fabryki, zakłady produkcyjne i firmy sektora automatyki. Działamy wszędzie tam, gdzie konieczne jest bezobsługowe mierzenie temperatur, obrazowanie i analiza rozkładu pól cieplnych. Jeśli jakiś proces technologiczny zależy od temperatury – my oferujemy rozwiązanie, które może zautomatyzować przebieg tego procesu. Jednakże w tych czasach, oprócz maszyn, podjęliśmy się też wyzwania zdalnego, automatycznego wykrywania gorączkujących osób.

W mediach już niejednokrotnie było słyhać o innowacyjności tego rozwiązania. Dlaczego właśnie wasz sposób mierzenia temperatury ludzkiej jest ewenementem na skalę światową?

W porównaniu z istniejącymi systemami medycznymi nasz ma jedną kluczową przewagę – dokładność. Opracowany aparat termograficzny FevIR potrafi zmierzyć temperaturę z precyznością do $\pm 0,3$ °C z odległości sięgającej do 8 metrów i to przy jednoczesnym pomiarze trzech osób w czasie poniżej sekundy. Jest on również zaprogramowany na zaalarmowanie obsługi w przypadku wykrycia

Życie przemienne a czasy promienne



Na zdjęciu Jędrzej Szelc

osoby, która ma gorączkę. W tej sytuacji informacja zostanie wyświetlona na podłączonym komputerze, a system dodatkowo archiwizuje wyniki. Dodać tu znów należy, że całe urządzenie nie będzie wymagać dodatkowej obsługi, jest ono w pełni automatyczne i można go zintegrować z systemami telewizyjnymi przemysłowej czy kontroli dostępu budynku.

Przy takich, można powiedzieć, idealnych parametrach do walki z koronawirusem, ten sprzęt dotychczas nie został rozpowszechniony we wszystkich lokalach państwowych. Co stoi na przeszkodzie?

Oczywiście próbowaliśmy oraz cały czas próbujemy zwrócić uwagę władz na siebie. W tej chwili jednak spółka nie otrzymuje żadnego wsparcia od instytucji państwowych. Życzymy sobie, że ta sytuacja niedługo ulegnie zmianie, dolożymy też wszelkich starań, by zaproponowane przez nas rozwiązanie, jak medyczny system FevIR znajdował zastosowanie w coraz większej liczbie urzędów. Obecnie prowadzimy również rozmowy z dwoma funduszami inwestycyjnymi i jesteśmy zainteresowani nawiązaniem współpracy ze wszelkimi podmiotami, które są w stanie wspomóc naszą działalność.

Najbardziej odpornymi na wszelkiego rodzaju radiacje są bakterie, czego na pewno nie możemy powiedzieć o ludziach. Państwa metoda polega na skanowaniu temperatury okolicy kącików oczu, czyli skierowaniu fali elektromagnetycznej na sam centrum głowy. Jakie są tego skutki?

Nie kierujemy żadnej wiązki w kierunku badanej osoby – to badana osoba jest źródłem tej emisji cieplnej, którą my tylko analizujemy. Nasza metoda jest kompletnie „bierna”, „pasywna”. Z tego właśnie powodu badanie ma charakter całkowicie nieinwazyjny. Zaznaczyć też tu można, że samo promieniowanie podczerwieni, które w swym działaniu wykorzystuje nasz system, ma istotne zastosowanie w medycynie. Podczerwień jako narzędzie nie jest w stanie zastąpić leków czy inwazyjnego leczenia ludzi, ale może wspomóc leczenie i diagnostykę oraz ma pozytywny wpływ np. na metabolizm naszych tkanek.

Odnoszą się też przypadki, gdy od podobnych urządzeń ludzie odczuwają presję psychologiczną, strach nadzorowania, a nawet inwigilacji.

Urządzenie jest całkowicie bezpieczne. Cały system, w tym również kod komputerowy, jest

tylko naszą własnością i mamy nad nim pełną kontrolę. Nie projektowaliśmy FevIR do inwigilowania społeczeństwa, zbierania zdjęć badanych osób oraz zachowania jakichkolwiek danych. Tego typu urządzenie to tylko bardzo precyzyjny, bezkontaktowy, automatyczny termometr. Musimy też mieć świadomość, że żyjemy w nowej rzeczywistości, gdzie podobne rozwiązania czynią nasz świat tylko bardziej bezpiecznym i komfortowym.

Spójrzmy prawdzie prosto w oczy: epidemia to chyba najlepszy czas dla rozwijania się podobnych urządzeń. Jakie są Pana przewidywania co do ich zastosowaniu już po wygranej z wirusem?

Wybuch epidemii związany był z wybuchem zainteresowania tego typu systemami, ale doprowadził również do "wybuchu" i rozprzestrzenienia się wielu mitów i nieprawdziwych informacji na temat możliwości tego typu systemów. Mamy nadzieję, że rynek wróci do normy, tzn. doceniona zostanie jakość oraz zrozumiane zostaną prawdziwe możliwości tego typu urządzeń.

Nikt nie spodziewa się włamania

Miało być łatwe, miało być proste... tak w mojej ulubionej piosence śpiewała Ania Karwan. No właśnie, takie miało być życie w 2021 roku. Los jednak, jak zawsze, okazał się przewrotny. Poniższa sytuacja wydarzyła się na początku stycznia. Z opisaniem jej czekałam jednak aż do teraz, licząc, że będę mogła powiedzieć, że skończyła się dobrze. Nie doczekałam się.

Pewnego wieczora, pracując przy komputerze, dostałam e-maila od Facebooka o treści: „Otrzymałmy prośbę dotyczącą zresetowania Twojego hasła na Facebooku. Wprowadź następujący kod resetowania hasła. Nie prosiłaś o tę zmianę? Powiadom nas o tym.” Kliknęłam więc w ostatnią opcję, ponieważ nie robiłam wcześniej nic, co mogłoby doprowadzić do zmiany mojego dotychczasowego hasła. Zostałam przekierowana na stronę Facebooka, a tam wyświetlił mi się następujący komunikat: „Nie zarejestrowaliśmy z Twojej strony żadnej prośby o zresetowanie hasła. Możesz zalogować się do swojego konta, korzystając ze swojego bieżącego hasła - nie musisz robić nic więcej.” Zignorowałam więc sprawę i poszłam spać.

Rano po śniadaniu włączyłam Internet w telefonie. Chciałam sprawdzić Messengera. No i zaczęło się. Nie mogłam się zalogować. Szybko włączyłam komputer, żeby sprawdzić, czy tam się uda. Miałam cień nadziei, że może problem tkwi w telefonie, w końcu takie rzeczy się zdarzają. Niestety na komputerze również moje hasło nie działało. Za to na skrzynce e-mailowej roilo się od wiadomości z Facebooka. Dotyczyły kodu resetowania hasła i pomyślnie przeprowadzonej operacji. Widniała też informacja o godzinie i miejscu wykonania tego kroku: 5:14 (UTC +03), szacunkowa lokalizacja: Mollafenari Mah., ISTANBUL PROVINCE, TR.

Przeglądając opcje logowania na moje konto, dostrzegłam możliwość resetowania hasła. Chciałam to zrobić. Niestety do tego potrzebny był adres e-mail sparowany z kontem. Problem w tym, że nie mam do niego dostępu. Zapomniałam hasła, a serwis, w którym go założyłam, już nie istnieje. Ale to nie jedyny kłopot. Okazało się, że włamywacz usunął mojego dotychczasowego e-maila z opcji logowania i dodał tam dwa inne, nazwą ludzko podobne



Wszyscy korzystamy z portali społecznościowych, ale czy bezpiecznie?

do pierwotnego, ale zupełnie mi nieznane. Przez to nie mogłam w najprostszy sposób zresetować hasła i dostać nowego w wiadomości.

W akcie desperacji, przeszukując opcje pomocy od Facebooka na ich stronie, znalazłam możliwość ratunku dla osób w mojej sytuacji, czyli przy braku dostępu do e-maila. Trzeba było wysłać im zdjęcie dowodu osobistego, paszportu lub prawa jazdy (ja zdecydowałam się na ostatnią opcję, która wydała mi się najbezpieczniejsza) i podać nowy adres e-mail. Po wypełnieniu formularza zgłoszeniowego pojawił się komunikat, mówiący o tym, że obsługa bardzo się stara, ale nie są w stanie obsłużyć wszystkich zgłoszeń, więc może być tak, że do mojego wcale nie dotrą. Dodatkowo na rozmaitych forach internetowych ludzie, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji, pisali, że czas oczekiwania wynosi od miesiąca w normalnych okolicznościach, nawet do 4 miesięcy w czasie pandemii. Podobno jest to spowodowane ograniczonym personelem.

Do mnie uśmiechnęło się szczęście, ale tylko chwilowe. Facebook zweryfikował moją tożsamość rekordowo szybko i po 5 dniach dostałam informację, że dodali do mojego konta nowy e-mail i mogę zresetować hasło. Naprawdę myślałam, że to będzie już koniec, pozytywny happy end.

Okazało się jednak, że żeby zalogować się na konto nowym, ustawionym przeze mnie hasłem należy wpisać kod potwierdzający od Facebooka. Można go otrzymać SMS-em lub wygenerować w aplikacji, do której trzeba być zalogowanym, co jest absurdem. Jest

to uwierzytelnianie dwuskładnikowe, które po włamaniu hackera Facebook sam ustawił na moim koncie. Tutaj ukazuje się mój drugi błąd w codziennym użytkowaniu portalu. Nigdy nie ustawiłam w bezpieczeństwie mojego profilu numeru telefonu. Bałam się, że będzie on widoczny w informacjach o mnie, a tego nie chciałam, albo dodany do Messengera. Chciałam chronić swoją prywatność i uważałam to za zbędne. Niestety w zaistniałej sytuacji połączenie profilu z numerem telefonu okazało się jedyną możliwością odzyskania mojego konta. Dodam jeszcze, że kod wygenerowany w aplikacji przez innego użytkownika nie działa. Jedyne co mogłam w tej sytuacji zrobić to napisać e-maila do działu pomocy Facebooka i czekać. I czekam nadal.

Kilka dni później na e-mail dostałam parę wiadomości od portalu, w których widnieją ceny za reklamy. Hacker musiał je ustawić, a gdy skończył się okres darmowego wyświetlania, przysłano ceny za kolejne dni. Nie były to duże kwoty, w sumie około 18 złotych. Rachunek, który miał zostać obciążony, nie należał do mnie. Nigdy nie wiązałam portalu społecznościowego z kontem bankowym. Zaniepokoiłam się jednak treścią reklam. Na miniaturkach widziałam, że były po arabsku i dotyczyły chyba jakichś operacji. Zadzwoiłam więc do znajomej policjantki z prośbą o radę. Zastanawiałam się, czy powinnam zgłosić sprawę na policję. Agnieszka powiedziała, że nie ma takiej potrzeby. Policja nie zajmuje się sprawami włamań na prywatne konta społecznościowe, a Facebook nie chce przekazywać im żadnych danych. W sytuacji popełnienia przestępstwa przez osobę korzystającą nielegalnie z mojego profilu będę wezwana do złożenia wyjaśnień niezależnie od tego, czy zgłosiłam to wcześniej. Nic mi jednak nie grozi, bo dzięki e-mailom wymienionym z działem pomocy Facebooka, będę miała dowód na brak dostępu do konta.

Tak jak wspominałam na początku, sytuacja miała miejsce na początku stycznia. Zdecydowałam, że poczekam z opisaniem jej, aż uzyskam jakąkolwiek pomoc, ale nie mam już na nią nadziei. Mam nadzieję, że dzięki mojej historii sprawdzicie swoje zabezpieczenia i będziecie bezpieczniejsi w sieci. Ustawcie uwierzytelnianie dwuskładnikowe oraz wydrukujcie listę bezpiecznych kodów z generatora waszego konta. Przydadzą się w kryzysowej sytuacji.

Katarzyna DRZEWIECKA
katdrz4@st.amu.edu.pl

O menstruacji nadal mało się mówi, a przecież jest to kwestia dotycząca wszystkich kobiet. Każda przechodzi ją inaczej. Niestety wiele kobiet podczas „tych dni” cierpi na silne bóle i złe samopoczucie – zwłaszcza w pierwszych dniach cyklu. Kilka tabletek mających na celu uśmierzanie bólu nie zawsze pomaga. Kobiety odwiedzają ginekologów, ale po tych wizytach nadal nie ma poprawy. Nie raz słyszą – „musi boleć”, „to normalne”. Dużo młodych dziewczyn nie chodzi do szkół w „te dni”. Za to pracujące kobiety najchętniej wzięłyby, chociażby dzień wolnego, aby spędzić go w spokoju w domu. Koc, herbata i on – okres.

Inicjatywa Elisy Minetti

Ubiegłego roku media poinformowały, że dodatkowy dzień wolny od pracy wprowadziła PLNY LALA – warszawski sklep odzieżowy, którego większość pracowników stanowią kobiety. Dyrektor kreatywna Elisa Minetti w celu zwiększenia komfortu pracy swoich pracowniczek zarządziła dodatkowe kilka dni płatnego urlopu. Mogą z niego korzystać kobiety, które cierpią podczas okresu. Minetti zachęca także inne firmy, żeby dołączyły do akcji Okres wolny od pracy. Na swoim Instagramie napisała: „Być kobietą, być kobietą to ja lubię nawet, to jest fajna rzecz, ale w „Te” dni to ja dziękuję, przepraszam, ja się cholera wyprowadzam”. Według badań w trakcie menstruacji ponad 75% dziewczyn w wieku 14-18 lat odczuwa ból. W grupie kobiet – 18-30 lat jest to 65%, a w wieku ponad 31 lat – 31%. Niestety w polskim prawie nie istnieje takie pojęcie jak urlop menstruacyjny, a inne firmy, póki co nie poszły w ślad PLNY LALA i nie dołączyły się do akcji.

Jak to wygląda za granicą?

Z kolei w Japonii od końca lat 40. ubiegłego wieku istnieje specjalna instytucja urlopu fizjologicznego – seiriyuuka (wolne fizjologiczne). Japonki, które bolesnie przechodzą miesięczkę, mogą wziąć urlop na czas jej trwania. Wolne przysługuje również kobietom na Tajwanie – 3 dni, w Zambii – 1 dzień nazywany „Dniem

Okres wolny od pracy



„Prośnienie o urlop miesięczkowy nie powinno się wiązać ze wstydem albo stagnacją” - pisała Elisa Minetti na swoim Instagramie

Matki”, podczas którego kobieta może wziąć dzień wolnego, nie podając konkretnej przyczyny. W Indonezji są to 2 dni, ale kobiety nie korzystają z tej możliwości w obawie przed upokorzeniem ze strony mężczyzn. W Argentynie również istnieje taka możliwość, jednak nie w każdej firmie i na określonych wewnętrznych zasadach. W krajach Afryki Północnej dzień wolny jest regulowany prawnie jako jeden z paragrafów prawa pracy, a tym, którzy tego nie respektują, grożą sankcje. Niektóre firmy w Wielkiej Brytanii dopuszczają możliwość urlopu menstruacyjnego po indywidualnych ustaleniach z pracownicami. W 2017 roku we Włoszech pojawił się projekt

ustanawiający płatny 3-dniowy urlop dla kobiet w trakcie miesięczki, jednak nie został przegłosowany przez włoski parlament.

Idea wydaje się być pozytywna i wielu kobietom przypadłaby do gustu, o czym świadczy zadowolenie pracowniczek PLNY LALA. Jednak, czy urlop menstruacyjny może negatywnie wpłynąć na karierę zawodową kobiet, które muszą brać dodatkowe wolne, tym samym opuszczając pracę? Z drugiej strony, czy takie dni wolne nie są czymś, co powinno się kobiecie bezwzględnie należeć?

Klaudia MICHALAK
klamic11@st.amu.pl

Z lękiem na TY, czyli jak poznać swoje fobie

Pająki, węże, ciemność i ciasne pomieszczenia są tym, czego według statystyk ludzie boją się najbardziej. Charakterystyczny lęk związany jednocześnie z unikaniem rzeczy go wywołujących definiowany jest jako fobia. Bardzo często odbiór danych sytuacji czy też zjawisk w sposób niestereotypowy jest bagatelizowany, ponieważ mało kto spogląda w głąb swoich lęków i dopatruje się ich rzeczywistego źródła. W konsekwencji ludzie nie zdają sobie sprawy, jak duże obciążenie emocjonalne mogą wywoływać fobie i jak je zwalczać.

Jak rodzą się w nas fobie?

Faktem jest, że fobie – definiowane jako schorzenia psychiczne – w przeciwieństwie do genetycznych chorób psychicznych nie są przekazywane z pokolenia na pokolenie. Nie ma więc możliwości, aby dziecko przejęło np. po swojej matce lęk przed pajakami na drodze genetycznej. Jako ludzie jesteśmy jednak obserwatorami a socjalizacja towarzyszy nam przez całe życie. Oznacza to, że otoczenie, w jakim przebywamy, reakcje ludzi na określone sytuacje, zjawiska, rzeczy i osoby, które w większym bądź mniejszym stopniu budują naszą tożsamość, mogą mieć znaczący wpływ na nasze postrzeganie świata. Ponadto duży wpływ na powstawanie w nas określonych lęków mają przeżyte traumy i bolesne doświadczenia. Jeśli strach przed czymś czy też przed kimś nie znika po pewnym okresie, a więc nie jest to strach pourazowy, wtedy mamy do czynienia z fobią w pełnej okazałości.

Zrozumieć samego siebie

Tak naprawdę strach rodzi się w głowie i to nasze błędne przekonania prowadzą do powstania lęków. Znając ich przyczynę, warto poszukać sposobów na radzenie sobie z irracjonalnym strachem. Pierwszym z nich jest stworzenie listy rzeczy, osób, zjawisk czy też stanów, które ten strach wywołują. Ważne jest to, aby każdy z lęków był opisany bardzo dokładnie. To pozwoli na zrozumienie stresogennych bodźców „od A do Z”. To, co może znacząco wpłynąć na nasze postrzeganie to opinia innych. Przedstawienie swojego stanowiska i porównanie go ze stanowiskiem pozostałych sprawi, że na pewno spojrzymy na nie z nieco innej perspektywy. Bezpośrednia konfrontacja z tym, co wywołuje w nas stany lękowe, również może okazać się owocna. Należy jednak pamiętać, by robić to małymi krokami, bo jak wiadomo, to trening czyni mistrza.

Techniki behawioralne

Niektóre fobie utrudniają nam życie w takim stopniu, że pozbycie się ich całkowicie jest niezbędne. Zazwyczaj dzieje się tak, kiedy przedmiot fobii powszechnie występuje w otoczeniu osoby chorej. Nie zawsze jesteśmy w stanie poradzić sobie z nimi sami. W niektórych przypadkach, gdy fobia zakorzeniona jest w umyśle człowieka bardzo głęboko, wymagana jest pomoc terapeuty, a także odpowiednich sposobów działania. Są nimi specjalne techniki behawioralne. Do głównych technik behawioralnych należą desensytyzacja oraz zanurzanie. Desensytyzacja polega na stopniowym konfrontowaniu pacjenta z obiektem wywołującym lęk albo w rzeczywistości, albo poprzez wyobrażenia. Ciekawostką jest to, że trening desensytyzacyjny jest jedną z najczęstszych metod zapobiegania lotniczej chorobie lokomocyjnej u



Arachnofobia, czyli lęk przed pajakami, jest jednym z najczęstszych lęków występujących u ludzi

aspirujących pilotów. Zanurzenie wiąże się natomiast z obcowaniem z żywym obiektem i sprawdza poziom realności niebezpieczeństwa. W rezultacie przynosi trwale obniżenie poziomu strachu oraz znacząco niweluje reakcję unikania. Cały proces prowadzi terapeuta, mając na względzie stan psychiczny pacjenta i obserwując jego reakcje na poszczególne bodźce. Obie te techniki mogą przynieść zamierzony efekt tylko wtedy, kiedy pacjent jest w stanie zaufać osobie prowadzącej jego przypadek.

Strach a lęk

Warto pamiętać, że strach i lęk to dwa zupełnie inne stany emocjonalne. Strach różni się od lęku tym, że powstaje w obecności konkretnego, zagrażającego obiektu. Osadzony zostaje w rzeczywistości, może być odpowiedzią na wyolbrzymione, ale jednak prawdziwe zagrożenie. Źródło lęku będzie natomiast miało charakter bliżej nieokreślony, a reakcje na obiekt wywołujący lęk mogą wydawać się wręcz irracjonalne. Obydwa te stany należy umieć rozróżniać. Mobilizuje to bo-

wiem organizm do radzenia sobie z określonymi sytuacjami.

Wygrać z samym sobą

Każdy z nas doświadcza czasami strachu. I to dobrze, bo dzięki temu przygotowujemy nasz mózg do odpowiedniej reakcji. Stereotypowe myślenie, że człowiek bojaźliwy to tchórz jest błędne i powoduje negatywne skutki, w szczególności u dzieci i młodzieży. Nie oznacza to jednak, że ze wszystkim, co stresogenne nie można walczyć. Przedstawione sposoby, które można zacząć praktykować samodzielnie, czy też specjalne techniki behawioralne, wymagające pomocy terapeuty zostały stworzone właśnie po to, aby pomagać w walce z barierami zakorzenionymi w naszych głowach. Warto poszukać źródeł naszych lęków i starać się z nimi walczyć. Praktyka czyni mistrza – w tym przypadku mistrza walki z własnymi słabościami.

Milena MROZEK
milmro1@st.amu.edu.pl

Najstraszniejszy dom grozy w Stanach Zjednoczonych

McKamey Manor to jedyny w swoim rodzaju dom grozy, który jest tak straszny, że za pokonanie całej trasy można wygrać 20 000 \$, czyli przeliczając na polską walutę – około 75 tys. zł. Jego wyjątkowość podkreśla jeszcze fakt, że odkąd istnieje, żadnemu śmiałkowi nie udało się wytrwać do końca trasy.

Podczas jednej z sesji do domu przyjechała uzbrojona policja, która została wezwana przez sąsiadów. Co się stało? Sąsiedzi słysząc krzyki kobiety, podbiegli do okna i zobaczyli zamaskowanych mężczyzn wyciągających ją z samochodu. Ze względu na przerażający i niecodzienny widok zadzwonili na policję, aby powiadomić ich, że prawdopodobnie doszło do uprowadzenia. Na miejscu okazało się, że to tylko część atrakcji i od tamtej pory właściciel przed każdym rozpoczęciem gry musi dzwonić na policję, aby ich poinformować, że zaczyna zabawę. Sytuacja miała miejsce po tym jak właściciel po ponad dekadzie przeniósł swoją działalność z San Diego w stanie Kalifornia do Summertown w stanie Tennessee, w którym nikt nie wiedział, że to część atrakcji w jego domu grozy. Jego drugi dom znajduje się jeszcze w Huntsville w stanie Alabama.

Spokojny właściciel

Mogłoby się wydawać, że tak hardkorowy dom grozy mógł stworzyć człowiek z zaburze-

niami psychicznymi. Największy psychol na ziemi, który jakimś cudem uciekł ze szpitala psychiatrycznego i oglądając horror pt. „Piła” wpadł na pomysł, aby stworzyć na jej podstawie dom grozy. Rzeczywistość jest jednak inna i nawet w najmniejszym stopniu nie jest podobna do wcześniej opisanej sytuacji. Właścicielem jest Russ McKamey, który, jak sam uważa, nigdy w życiu nie stosował narkotyków, nie zapalił papierosa, nie był pijany, ani nawet nie wypił filiżanki kawy. Jak to możliwe, że facet który nie wypił nawet kawy stworzył dom strachów, którego nikt nie może ukończyć? Nie mam pojęcia, ale stare polskie przysłowie „ci cha woda brzegi rwie” – się sprawdza. Jest też szczerą, konserwatywną osobą, która nie toleruje wulgaryzmów, stąd też zasada, że odejmuje pewną ilość pieniędzy od głównej wygranej, za każde wypowiedziane przekleństwo przez uczestnika podczas sesji.

Karma dla psów

Pewnie cena za wzięcie udziału w tak ekstremalnym domu grozy jest kolosalna, zwłaszcza że można wygrać tak dużą sumę pieniędzy. Nic bardziej mylnego. Jako zapłatę przywozi się 50 funtów (ok. 22 kg) karmy dla psów. Skąd ten dziwny sposób zapłaty? A stąd, że Russ jest wielkim miłośnikiem psów i sam posiada ich aż pięć. Tak więc karma jest dla jego psów. Ciekawie skąd Russ bierze fundusze na prowadzenie tej działalności, skoro nie zarabia ani jednego dolara, a musi opłacić aktorów biorących udział w przedstawieniu. Sam ocenia się jako słaby przedsiębiorca, ponieważ zysku nie ma

żadnego, a podobno wydał już ponad milion dolarów.

Długi regulamin

McKamey Manor jest tak ekstremalnym domem grozy, że trzeba spełnić kilka warunków, aby wziąć udział w tej przerażającej przygodzie. Oczywiście sprawą jest wymóg wieku, czyli udział mogą wziąć tylko osoby pełnoletnie, ale w przedziale wieku od 18 do 20 lat należy mieć jeszcze zgodę rodziców. Następnie trzeba udać się do lekarza, który musi wypisać zgodę, że nie mamy żadnych przeciwwskazań. Jest to potrzebne, ponieważ odradza to się osobom, które mają problemy z sercem i układem oddechowym, mają astmę lub złamania oraz kobietom w ciąży. Przed wzięciem udziału trzeba potwierdzić swoją tożsamość przez rozmowę na Facebooku na facetime lub przez rozmowę telefoniczną oraz pokazać wykupione ubezpieczenie zdrowotne.

Po spełnieniu tych warunków pozostaje już tylko udać się do McKamey Manor, gdzie trzeba przeczytać na głos i podpisać regulamin, który zawiera aż 40 stron. W regulaminie jest ponad sto punktów, w których opisane są obrzydliwe i niebezpieczne scenariusze, które mogą nas spotkać po podpisaniu go. Regulamin jest zabezpieczeniem dla Russa McKamey, na wypadek gdyby ktoś chciał złożyć na niego skargę w sądzie, ponieważ osoba podpisująca go zrzeka się swoich praw. Na miejscu uczestnicy są jeszcze badani, czy nie są pod wpływem alkoholu lub narkotyków. Po spełnieniu wszystkich warunków, podpisaniu regula-

minu i zdaniu testu na obecność narkotyków rozpoczyna się ekstremalna zabawa, która powinna trwać ponad 6 godzin, a w rzeczywistości nikt nie dotrwał nawet do połowy sesji.

Kontrowersyjny dom grozy

McKamey Manor jest interaktywnym domem grozy, czyli podczas sesji uczestniczą prawdziwi aktorzy, którzy mogą nas dotykać, zapinać w kajdanki, polewać wodą czy sztuczną krew. Takie domy grozy znajdują się również w Polsce, ale jednak nie są one aż tak ekstremalne. Dom grozy Russa McKamey spotyka wielu krytyków oraz już kilkakrotnie składano petycję, aby zakazano jego działalności. W mediach można przeczytać wiele złych opinii na temat tego miejsca. Najczęściej pojawiają się skargi, że po wypowiedzeniu bezpiecznego hasła, po którym gra powinna się skończyć, aktorzy nie kończą jej. Część osób skarży się na brutalność aktorów oraz brutalne czynności, np. uderzenie ich w twarz, ścinanie włosów, a nawet brwi... Sama oglądając filmiki, które Russ udostępnia na swoim kanale na platformie YouTube uważam, że jest to bardziej dom tortur niż dom grozy. Nie mam pojęcia co sprawia, że wciąż są ludzie, którzy są chętni brać w tym udział. Można by powiedzieć, że pieniądze, ale przecież nikt do tej pory nie ukończył sesji. Część osób odpuszcza już na etapie czytania regulaminu. Może chodzi o sławę? Uzyskanie tytułu pierwszej osoby, która ukończyła najstraszniejszy dom grozy?

Karina KONYS
karkon14@st.amu.edu.pl

W ludowych porzekadłach strach zwykł posiadać wielkie oczy. Terror zazwyczaj ma też w sobie coś dzikiego i nieokreślonego. Jest zwierzęcy. I zasada ta nie dotyczy wyłącznie źródła i przyczyny strachu, ale też spustoszenia sianego w ludzkich sercach. Bo wystraszony człowiek staje się największym zwierzęciem. Doskonale wiedział o tym stojący nad zakrwawionym śniegiem Stanisław Pilawa.

Dwa samotne płatki zamrożonej wody spotkały się tuż przed poczerwiałym nosem Stanisława. Generalnie jednak nie padało. Nawet świeciło słońce. I lśnienie to było tak silne, że zranione oczy natychmiast zmuszały powieki do zmruczenia. Pilawa mimo wszystko wyraźnie widział leżące metr od czubka jego kozaka truchło. Ubity śnieg wokół zbryzgła zastygająca krew. Pomiędzy karkiem a pyskiem zdechłego widniała wyraźna szrama. Coś jak ugryzienie. Ale pewności nie było.

Żrenice i mózg obserwatora znały historię ofiary całkiem dobrze. Owczarek niemiecki Fryc przed zgonem był emerytowanym służbistą. A może i pozostał nim nadal? Zbyt wiele szczęścia w doczesnym życiu nie zaznał. Po przejściu w stan spoczynku zmieniał właściciela średnio trzy razy w roku. Nie potrafili poradzić sobie z nim najwięksi milicyjni zamordyści na osiedlu. Przez jakiś czas siedział w schronisku. Później, nie wiedząc czemu i wbrew procedurom, pracownik schroniska, który zapewne nie potrafił znieść Fryca, oddał psa bezdomnemu. Żul odstraszał nim swoich konkurentów do puszek. To był cholernie agresywny bies.

Teraz bestia leżała skulona niczym zamrożone szczenię. Stanisław mrużąc oczy rozejrzał się po okolicy. Dookoła widział tylko bloki. Szary masyw w zupełnie obojętny sposób przeszedł obok nagłej śmierci Fryca. Ale nie jego mieszkańcy.

Obłok siwego dymu z papierosa tańczył na wzór lampowego dżina, podczas gdy Pilawa wysłuchiwał zeznań jedynego świadka, na w pół ślepej fryzjerki z klatki obok. Kobieta oczywiście widziała wilka. Nie grupę czy watahę. Tylko jednego wilka. Zwierz ów o nienaturalnych rozmiarach

THE PILAWAS

Siwy kieł

zach miał samodzielnie pognać owczarka, obalić i rozgryźć jego tchawicę. Pocziwa babinka na własne oczy widziała potężne białe kły, lśniące w powietrzu na kilka ułamków sekundy przed śmiercią bezbronnego psa. Potem okryły się szkarłatną mazią. A ślepią wilka nie były mniej czerwone od zębisk.

Stanisław tylko prychnął. Zaraz też sięgnął po fajkę, by zasłonić dłonią ironiczny uśmiešek i nie zrazić starszej kobiety. Poprawił kaszkiet, wyprostował sylwetkę i grzecznie się pożegnał. Nad psem zawodził już wylewnie osiedlowy żulik o zawsze opuchniętych wargach. Jeszcze nie był tak wścieły, żeby nie rozpoznać własnego pupila. Białoląc tak przeklinał upiornego wilka z opowieści fryzjerki. Wieść szybko się nosła. Pilawa postanowił kontynuować śledztwo w miejscu, dokąd zmierzały wszelkie pogłoski.

Właściciel monopolowego zrobił się jednak wyjątkowo cichy. Ksawery chwycił się tylko za polysiałe czoło i zasmucił. Pilawa znał go na wylot. Człowiek równie głupi i chciwy co współczujący. Kupiec wiedział, że lęk przed samotnym wilkiem zmusi klientów do ograniczenia wypraw do sklepu, a tym samym spadnie liczba spontanicznych zakupów. Stanisław zamówił „to co zawsze”. Rozpiął popielaty płaszcz i ściągnął nakrycie głowy. Pod palcami wyczuł przerezedzające się z roku na rok włosy. On i Ksawery byli z tej samej gliny. Ponorzekali trochę na żony i należało dokupić „drugą połowę”. Później przyszedł też czas na „dogrywkę”. Za oknem zrobiło się ciemno i wtedy Stanisław przypomniał sobie o Frycu. Chwiejnym krokiem opuścił monopol.

Po zmroku chodnik stał się jakby bardziej obcy. Długi i szeroki. Ciepła krew motywowała mózg do coraz to nowych myśli. Czy faktycznie złowieszczy wilk mógł grasować pośród starych bloków? Czy jest bezpiecznie dla zwierzęta? A ludzie? I chyba najważniejsze. Co z nim samym? Nie należał już do najmłodszych, najsprawniejszych i najsilniejszych samców na osiedlu. A tego dnia był jakoś wyjątkowo obolały. Jakby sam walczył z niedźwiedziem. Ale bydlak, który poskromił dziarskiego owczarka, chociaż emerytowanego, lecz wciąż wielce groźnego, mógł z łatwością poszarpać człowieka. Pilawa przeklnął ślinę i wtedy dostrzegł znikający za blokiem cień czworonoga.

Pod wpływem impulsu zapomniał o wszystkich obawach i ruszył natychmiast za domniemanym wilkiem. Stan zaniedbanej nawierzchni chodnika nie ułatwiał sprawy, ale udało mu się rozpedzić bez utraty równowagi. Czarny kształt co chwila rozpywał się i znów kształtował w pobliżu ulicznej latarni. Mknął przed siebie i Stanisław nie widział jego czerwonych oczu. Miał jednak przeczuć.

Nagle padł strzał. Ołowiany śrut przefrunął kilkadziesiąt centymetrów od czaszki Stanisława Pilawy. Siłą zaskoczenia i startej podeszwy mężczyzna wyładował w zaspie śniegu. Po chwili doczłapał do niego zadyszany sąsiad Józef Kosa z wiatrówką w dłoni. Stanisław powoli wstał i strzepując śnieg z popielatego płaszcza zbliżył soczyście strzelca. Zupełnie niesłusznie. Kilka metrów dalej kulała postrzelony zwierz. Skomlący pies był jednak chuderlawym kundlem. Zostawili kalekę i Kosa

zaprowadził naburmuszonego Pilawę znów na miejsce zbrodni.

Stanisław ledwo poznał zaludnione podwórko. Wszędzie kręcili się ludzie z bronią myśliwską. Truchło Fryca leżało publicznie wystawione w ramach ostatniego pożegnania i dowodu na wilczą zbrodnię. Ten zaszczekany kundel nagle stał się męczennikiem wielkiej sprawy. Żulik bilonem na „godny pogrzeb” wypchał wszystkie kieszenie cerowanej kurtki. Na niewielkim podeście stał jakiś samozwańczy generał. Podniósł wykrzykiwał coś o „obywatelskiej rewizji wszystkich mieszkań” w poszukiwaniu wilka mordercy. Jeśli to nie przyniesie skutków – zamierzał poprowadzić „wielkie polowanie” w pobliskim lasku.

Zniechęcony Pilawa jedynie machnął dłonią. To był długi dzień a on już drugi raz podczas niego zdołał się odurzyć. Podeszedł do zdechłego Fryca. Jego uwagę natychmiast przykuł brak karmazynowej krwi. Ktoś naprawdę postarał się doprowadzić psiego denata do czystości. Osiedlem rządził przenikliwy mróz toteż wokół zwłok nie kręciły się muchy. Stanisław bez obrzydzenia wyciągnął dłoń i zbadał Fryca. I wtedy nastąpił przełom w śledztwie.

Przewrotna pamięć rąbnęła niczym goły obuch w makówkę Pilawy. Tak. Teraz widział wszystko jak przed oczami. Południe. Słońce spotęgowane przez odbicie w śniegu. Wraca z imieniem dobrego kumpla ze zmiany. Chyba niezbyt świadomy swoich czynów. Fryc zniecka rzuca mu się do gardła. Musieli przez chwilę walczyć. Jeśli się nie myli, narzędzie zbrodni cały czas leży w zewnętrznej kieszeni jego płaszcza. Wsuwa tam dłoń i wyczuwa niewielki szczyrek. Za pyskiem owczarka nie ma pogryzienia. To raczej cięciem.

Stanisław jak gdyby nic odsunął się od zdechłego owczarka. Widząc wszystko, co dzieje się na podwórku, głęboko westchnął. Przygarbiony i z dłońmi w kieszeni powoli ruszył w kierunku mieszkania.

Krzysztof POLASIK
krzpol1@st.amu.edu.pl

Japońskie motywy w twórczości Claude'a Moneta

W przerwach między przygotowaniem do sesji proponuję zanurzyć się w sztuce, a mianowicie: w malarstwie Claude'a Moneta. Był to malarz, który nie tylko współtworzył impresjonizm, ale także nadał nazwę temu kierunkowi. Dzięki jego obrazowi, który pokazywał wschód słońca w porcie w Hawrze, nazwano tak nowy prąd artystyczny – impresjonizm.

Claude Monet w Tokio

Artysta nigdy nie był w Japonii, ale jego związek z tym krajem jest znaczący. Claude Monet uczył się w prywatnych pracowniach w Paryżu (1859-1863), gdzie studiował także japońską grawiurę. Po odkryciu Japonii w 1855 roku dla świata zewnętrznego japońska sztuka stała się bardzo popularna. Ceramika i czarne kubki Raku, monochromatyczne malarstwo i inne towary zostały przywiezione do Francji w dużych ilościach, gdzie szybko znalazły swoich koneserów. Podczas Światowej Wystawy w Paryżu zaprezentowano japońskie, kolorowe ryciny i różne wyroby rzemieślnicze: porcelanę, kimono, parawany i wyroby lakiernicze.

Słynny artysta był także ogrodnikiem, który pielęgnował swój ogród przez 43 lata. Znajdował satysfakcję nie tylko w uprawie roślin. W ostatnich latach życia wychodził ze sztalugą do swojego luksusowego ogrodu i otoczony nim –

malował. Wielki robotnik i „niewolnik swojej pracy”, jak sam siebie nazywał, starał się osiągnąć doskonałość w przekazywaniu piękna otaczającej przyrody na płótno.

Japońska sztuka częścią życia artysty

Fascynacja japońską sztuką wpłynęła na działalność malarza. Od 1883 roku Claude Monet zamieszkał w wiosce Giverny nad brzegiem Sekwany i w swoim ogrodzie zbudował japoński, drewniany most. Artysta interesował się bogactwem natury, która znajdowała swoje odzwierciedlenie w różnej pogodzie, czy porze dnia. W wyniku obserwacji stworzył serię płócien-wariacji na jeden temat, ale o różnej treści. Motywy i technika koloru w sztuce japońskiej znacząco odbiły piętno na jego twórczości. W pracach artysty starał się zatrzymać chwilę. Czas płynie i wszystko odchodzi, ale nic nie znika – co jest zgodne z japońską estetyką wabi-sabi. Dlatego prace impresjonistów, a zwłaszcza Claude'a Moneta, prawdopodobnie są bardziej cenione w Japonii. Obrazy Moneta wystawia, choćby Narodowe Muzeum Sztuki Zachodniej.

Nowy sposób widzenia malarstwa

Młodzi artyści, którzy szukali nowej ekspresji, nowych wątków, byli znudzeni w szkołach akademickich. Potrzebowali przebudzenia, które przyszło z kraju kwitnącej wiśni. Z japońskiego grawerowania przyszli impresjoniści czerpali to, za co byli ówczesnie znienawidzeni, a teraz są po-



Japońska natura była inspiracją dla Claude'a Moneta

dziwiani. „Wszystkie najbardziej atrakcyjne cechy impresjonizmu i postimpresjonizmu pochodzą z Japonii” – twierdzi angielski krytyk sztuki, Philip Hook. Na długo przed pojawieniem się fotografii, Japończykom udało się wywołać poczucie zaskoczenia i nieprzewidywalności w kompozycjach. Tamtejsze malarstwo opierało się na

zasadach opracowanych w starożytnych Chinach. System gatunków, światopoglądowe podstawy malarstwa, symbolika i wiele innych artystycznych środków zostało zapożyczonych z kontyentu w tym samym czasie co buddyzm.

Anastasiya BURNEL
anabur@st.amu.edu.pl

Renesans polskiego malarstwa?

Spółeczność z pokolenia na pokolenie rozwija się w trybie diametralnym, próbującym nadażyć za panującymi trendami i nowinkami technologicznymi. Jak zresztą widać, świat krąży nieubłagane szybciej, dlatego ludzkie potrzeby oraz aspiracje są nastawione na wyżej wspomnianą prędkość i czytelność informacji. Natomiast poznawanie sztuki wiąże się ze złapaniem kilku spokojnych wdechów, uspokojeniem rytmu serca oraz puszczeniem wodzy fantazji i podróżą w nieznanne. W dzisiejszych czasach niemalże wszystkie aspekty naszej egzystencji zostały sprowadzone do świata wirtualnego, tak więc i sztuka musiała się zaadaptować w nowych panujących realiów, jakim przyszło im sprostać.

Tak właściwie, co jest istotą malarstwa? Dla wielu ludzi jest to po prostu uwiecznienie danego momentu lub chwili z życia twórcy, nie posiadające żadnego sensu metafizycznego. A dlaczego jest tak duży odsetek osób, które nie interesują się tą dziedziną? W taki sposób myślał przede wszystkim dzieci, które jeszcze nie zdążyły ukształtować swej wrażliwości oraz sposobu myślenia wykraczającego poza wszelkie teorie poznania, znajdujące się w sferze transcendentalnej. W dzisiejszych czasach ludzie zbyt prędko pragną uzyskać informacje, bez zbędnej refleksji, podjęcia jakiegokolwiek analizy z uwzględnieniem problematyki zawartej w dziele oraz takiego zwykłego fascynowania się obrazem. Dlatego dla zwykłego człowieka próba wyjścia ze strefy komfortu i zapoznania się ze światem sztuki nierzadko wiąże się z niezrozumieniem przekazu, a w konsekwencji wewnętrzna frustracja i odraza do instytucji kulturowych oraz wszelkich kwestii ogólnych związanych z sztukiem. Istotą stanowi jasność i klarowność odbioru, a służy temu Internet, który pozwala tego dokonać w tempie przekraczającym rozmaite wrażenia zmysłowe, które kiedyś były nieosiągalne dla ludzkości, a teraz są jak na wyciągnięcie ręki.

Sensualna degradacja ludzkiej dedukcji

Jednakże każdy, kto choć raz w życiu był w muzeum, w doskonałej mierze zna tę wypełniającą przestrzeń aurę. Odnosimy wrażenie obecności ducha czasów dawnych lat. Czasów na pozór już nieobecnych i odległych, a zarazem na nowo przesywających nasz umysł. Wraz z przekroczeniem progu gmachu stajemy się częścią odbywającego się spektaklu, który jak wieczny płomień nigdy nie gaśnie. Poprzez obserwację dzieł wkraczamy w świat zobrazowany na płótnie. Świat, który zmusza nas do myślenia, wzrusza, porusza, intryguje. Jak to się dzieje, że zadawane pytania intrapersonalne, by zrozumieć przekaz obrazu, są niekiedy rzucane jak słowa na wiatr powodując tylko echo odbijające się o ciemność i enigmatyczność naszych myśli? Istotą i przyczyną malarstwa uznają za tożsame z filozofią, również nieposiadającą odpowiedzi na pytania, a równocześnie fascynującą swoją unikalnością, uniwersalnością oraz ciekawością poznawania. Tylko w jaki sposób obecnie można zachęcić



Jedna z ok. 72 tys. klatek namalowanych ręcznie

młodych, pełnych zapału i temperamentu ludzi do zapoznania się z naszą rodzimą sztuką? Oraz czy w dobie Internetu znajdzie się jeszcze odrobina szansy na zrealizowanie tego celu?

Poszukiwanie nowoczesnego uniwersalizmu artystycznego

Spółeczność z pokolenia na pokolenie rozwija się w trybie diametralnym, próbującym nadażyć za panującymi trendami i nowinkami technologicznymi. Jak zresztą widać, świat krąży nieubłagane szybciej, dlatego ludzkie potrzeby oraz aspiracje są nastawione na wyżej wspomnianą prędkość i czytelność informacji. Natomiast poznawanie sztuki wiąże się ze złapaniem kilku spokojnych wdechów, uspokojeniem rytmu serca oraz puszczeniem wodzy fantazji i podróżą w nieznanne. W dzisiejszych czasach niemalże wszystkie aspekty naszej egzystencji zostały sprowadzone do świata wirtualnego, tak więc i sztuka musiała się zaadaptować w nowych panujących realiów, jakim przyszło im sprostać. Doskonałą egzemplifikacją poruszanej przeze mnie problematyki jest realizacja najnowszego filmu Doroty Kobieli i Hugh Welchmana pt. „Chłopi”, będąca adaptacją nagrodzonego literacką nagrodą Nobla znanego dzieła autorstwa Władysława Reymonta o tym samym tytule. Podobnie jak w „Twoim Vincencie”, para zdecydowała się na nieszablone podejście w kwestii produkcji filmu, tym razem kreując chłopski świat przez pryzmat sztuki malarzkiej inspirując się najsłynniejszymi polskimi realistami II poł. XIX wieku: Józefem Chełmońskim, Leonem Wyczółkowskim, Ferdynandem Ruszczycem czy Aleksandrem Gierymskim. Taki zabieg zastosowany przez reżyserów przyczynia się do stworzenia niespotykanego wcześniej charakterystycznego stylu pod względem swej unikalności oraz wyjątkowości. Połączenie innowacyjnych technik z kanonami polskiej sztuki może nadać im inne spojrzenie na artystyczny kunszt, przez co sprawia wrażenie bardziej zrozumiałej i dostępnej w percepcji filmu przeciętnemu widzowi, a w konsekwencji przyczyni się do rozwoju i wzrostu zainteresowania perelkami polskiego malarstwa.

Śródpolna galeria

A co, gdyby zacząć przedstawiać dzieła sztuki na przystankach PKS? Na taki koncept wpadła grupa wolontariuszy z fundacji Tu brzoza, która zajmuje się promowaniem i wspieraniem wszechstronnego rozwoju społeczeństwa polskiego w formie prowadzenia działalności edukacyjnej, artystycznej, naukowej, kulturowej i ekologicznej. „Pomysł na Folkowe Przystanki zrodził się z kilku rzeczy, z jednej strony z niezgody na bylejaką wiejską przestrzeń publiczną. Jednym z tego przykładów są właśnie zaniedbane, pomazane przystanki. Jakby tego było mało, te przystanki zaczęto wymieniać na jeszcze gorsze rozwiązania, blaszane wiaty. Wreszcie wieś to kulturalna pustynia, a sztuka nie pojawia się tu praktycznie w ogóle. I my to zmieniamy” – mówi Barbara Gortat, wiceprezes fundacji Tu brzoza oraz koordynatorka projektu. Idea stworzenia „Śródpolnej galerii” przyczyniła się do rozpropagowania tego regionu Polski stając się atrakcją turystyczną dla entuzjastów malarstwa, a zarazem do większego zainteresowania naszym regionalnym malarstwem wśród laików. Trasa ciągnie się od Poddębic do Zalewu Jezioro prezentując magiczną alejkę złożoną z wieloformatowych klasyków polskiego malarstwa, takich jak „Bociany” i „Babie lato” Józefa Chełmońskiego, „Na pastwisku” Stanisława Witkiewicza czy „Wiejskie podwórko” Tadeusza Makowskiego. Projekt będąc sfinansowany w ramach Budżetu Obywatelskiego Województwa Łódzkiego stał się inicjatywą godną szerszego rozpowszechnienia, nie tylko w pozostałych okolicznych miejscowościach.

Oaza spokoju wśród chaotycznej internetowej papki

Również na serwisach społecznościowych, które co prawda są owładnięte niskowartościowymi i nierzetelnymi materiałami, tak z drugiej strony można odnaleźć pomysły zasługujące na uznanie w ramach upowszechniania wybitnego polskiego rzemiosła artystycznego, chociażby blog absolwentki historii sztuki powstały pod wpływem wielkiej pasji do

naszej kultury zatytułowany „Minerva” czy strona internetowa „Polish masters of art.”, która codziennie udostępnia obrazy rodzimych malarzy i malarek, nierzadko komentując bieżące wydarzenia w Polsce i na świecie w formie obrazu. Obydwa przedsięwzięcia prezentują idealistów, którzy z ogromnym zaangażowaniem badają i przeszukują nasze dziedzictwo sztuki wizualnej, jednocześnie udowadniając, że: „Polacy nie gęsi, iż... swój artymz mają”.

Dylemat moralny – sztuka w medium?

Żyjemy w czasach, w których zainteresowanie sztuką nie jest aż tak powszechne. Raporty udokumentowane przez Instytut Badania Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów pokazują tendencję malejącą w naszym kraju, dlatego trzeba jak najszybciej zareagować na dotkliwy dla muzeów problem, aby na nowo zaciekać ludzi. To też jest poniekąd powód przeniesienia się sztuki do medium. Chociażby próba zachęcenia naszą sztuką została skonstruowana za sprawą najnowszej kolekcji odzieżowej w sklepach „Medicine” pod nazwą „Eviva l'arte!”, stosując maksymę: Noś sztukę z dumą. Oczywiście, można mówić, iż takie zabiegi spłaszczają sztukę oraz zabijają prawdziwy artystyzm. Jednakże, nie podjęcie się istotnego rozwiązania sytuacji spowodowałoby zanik ludzkiej ciekawości kultury, a w konsekwencji zastąpienie jej robotyką. Dlatego przeniesienie sztuki do sieci w celu spopularyzowania jej dla szerszego grona odbiorców ma rację bytu, pod warunkiem, iż zabieg ten jest wykonywany tylko i wyłącznie w świadomy sposób. Wyżej wymienione działania dają wiele powodów do dumy, ponieważ istnieje jeszcze ciemność szansy na renesans polskiego malarstwa, i kto wie, rozpropagowanie polskiego kunsztu artystycznego na skalę europejską, a może i światową. Aczkolwiek, by tego dokonać, wniosek jest jeden – nie kończmy swojego obcowania ze sztuką tylko na odzieży i w Internecie.

Dwie one – kobieta i artystka



Obraz Fridy Kahlo – „Girl with Death Mask”



Wizerunek malarki

Kobiety od początku istnienia cywilizacji były dyskryminowane. Co ciekawe, samo słowo „kobieta” powstało dopiero w XVI wieku. Wcześniej nie było słowa, które by miało podobne znaczenie. W starożytności powszechną praktyką było zabijanie nowo narodzonych dzieci płci żeńskiej. Przynajmniej z powodów finansowych – córce trzeba było dać posag. Jeszcze do niedawna ten proceder miał miejsce w Chinach, gdzie obowiązywała polityka „jednego dziecka” i restrykcje co do liczby córek na rodzinę.

Jakie ma prawa?

Od najmłodszych lat kobieta miała być czyjąś własnością – najpierw ojca, potem męża. To mężczyźni mieli stać na czele rodziny i podejmować wszystkie decyzje. Tak jest w zasadzie do tej pory, choć ulega to częściowej zmianie. Zwróćmy uwagę, że teksty powstające w starożytności czy w średniowieczu były tworzone przez mężczyzn. Filozofia również obfituje samymi filozofami, a nie filozofkami. Jasne, powód jest prosty – kobiety nie miały dostępu do edukacji; mało tego, gdy któraś była nadzwyczaj inteligentna, dowodziła swoich racji, była uważana za czarownicę czy wiedźmę i palona na stosie. Kobieta miała milczeć. To mężczyzna utożsamiany był z ideałem,

postacią rycerza o niezwyklej sile i nadzwyczajnej mądrości. Problem z szeroko rozumianą wolnością kobiet to temat wciąż aktualny, bo jak mówić o wolności, gdy nadal jest ona zatracana, kiedy to mężczyźni decydują o tym, co dla kobiety najważniejsze, także o jej ciele? Dlaczego kobieta wciąż musi walczyć „o swoje” i na jak długo starczy jej sił?

Sztuka przepiękna bólem i symboliką

Frida Kahlo. Jedna z XX-wiecznych Meksykanek o niezwykle silnej woli. Od najmłodszych lat naznaczona cierpieniem. Na początku chorowała na polio, które spowodowało, że miała jedną nogę krótszą i cieńszą, co starała się zatuszować długimi spódnicami. Następnie wypadek drogowy, w którym została ciężko ranna. Z wieloma złamaniami i uszkodzeniami trafiła do szpitala, gdzie przeszła mnóstwo operacji. Unieruchomiona w swoim łóżku, zaczęła tworzyć obrazy.

Co ciekawe, tworzy głównie autoportrety. Ten wypadek niewątpliwie uwydatnia prawdę wygłoszoną przez Platona: „Nic się nie dzieje przypadkowo”. Teoretycznie każde wydarzenie wiąże ze sobą jakieś skutki, czasem pozytywne, czasem negatywne, lecz w obu przypadkach wartością dodaną jest to, co jako jednostka zachowamy dla siebie, jakie wyciągniemy wnioski i jaką drogę obierzemy. W życiu Fridy następuje zwrot, już nie marzy o byciu lekarzem jak za czasów dzieciństwa, ale o malarstwie.

„Moje malarstwo nosi w sobie przekaz bólu. Malarstwo dopełnione życiem. Straciłam tro-

je dzieci. Zastąpiły je obrazy” – pisze w swoim pamiętniku Frida. Tragiczny w skutkach wypadek spowodował, że miała problemy z wydaniem potomstwa. Szereg poronień odbił się piętnem na malarce. Zaczęły powstawać obrazy przedstawiające ból, cierpienie i wyrażające niemoc. Na dziełach Fridy zaczynają widnieć takie symbole jak krew czy czarny kot. Ukazywała siebie płaczącą, nagą. Nie bała się prezentować na swoich obrazach takich tematów jak aborcja, śmierć, nagość, poronienie, erotyzm czy fizjologia. Czasem jej obrazy były wręcz psychodeliczne i surrealistyczne (obraz pt. „Pitahayas” czy „Girl with Dead Mask”), lecz nie bez powodu zaczęto uważać, że wyznaczyła nowy, feministyczny kierunek w sztuce.

Walka z ideologiami

Jako nieliczna z kobiet tamtych czasów, otwarcie mówiła o biseksualizmie. Ówczesny Meksyk, jako kraj chrześcijański, całkowicie wykluczał coming out i związki dwóch osób tej samej płci. Sama Frida przeciwstawiła się zasadom i związała między innymi z francuską tancerką i aktorką – Josephine Baker. Jej mąż – słynny malarz meksykański – Diego Rivera, zezwalał małżonce na romanse, ale tylko z kobietami. Sama sztuka Fridy Kahlo to nieustająca walka i uwydatniony sprzeciw wobec panującym zasadom i ideologiom. Symbol krwi wielokrotnie pojawiający się na obrazach to przejaw emancypacji, przerwanie milczenia w sposób niezwykle artystyczny i symboliczny. Co ciekawe, Frida odeszła także od powielania wizji, że płeć żeńska jest uprzedmiotowiona

przez mężczyznę. Frida poprzez obrazy, próbowała wyrazić siebie, poukładać swoje życie fizyczne i mocno podziurawione życie psychiczne. „Ufam, że odejdę bez żalu i że już tu więcej nie wrócę – Frida” – pisała w swoim pamiętniku. Teoretycznie przyczyną śmierci był zator płucny. Lecz istnieje także druga wersja, wynikająca z pamiętnika...

„Odwaga” – rodzaj żeński

Jak dzisiejszy świat kreuje kobietę i dlaczego nadal jest jej mało w życiu publicznym? Wyraźnie widać wpływ historii na obecną jej pozycję. Kobieta często jest dość wycofana, szczególnie w polityce.

Od dawna to mężczyzna stał na czele państwa, na czele Kościoła, na czele wszystkiego, prócz gospodarstwa domowego. Mało tego, dopiero w XX wieku kobieta zyskała jakkolwiek szacunek

i dostęp do edukacji, uniwersytetów i możliwość rozwoju. Historii raczej się nie zapomina. Fundamenty postawione przez Fridę mają silne powiązania z szeroko rozumianą wolnością i prezentacją własnego systemu wartości. Sama sztuka malarki jest popularna na całym świecie. Frida stała się ikoną popkultury. Jej postać została zaprezentowana także w „Coco” – bajce dla dzieci. Stała się symbolem feminizmu. Jej życie to szereg walk z przeciwnościami losu. A obraz jaki pozostawiła po sobie jest najwybitniejszym dziełem, dającym kobietom siłę i inspirację. Jaka będzie kobieta jutro i co wypracujemy dla przyszłości?

Julia CZEKALSKA
julcze2@st.amu.edu.pl

Sztuka współczesna XXI wieku

Sztuka współczesna odnosi się do wszelkiego rodzaju prądów artystycznych, które rozwinęły się pod koniec XX wieku. W okresie powojennym był to rodzaj ujęcia, które po raz kolejny nauczyło ludzi marzyć i wymyślać nowe realia życia.

Zmęczeni surowymi zasadami z przeszłości młodzi artyści postanowili złamać dotychczasowe normy artystyczne. Starali się stworzyć nowe, nieznanne wcześniej praktyki. Sprzeciwiając się modernizmowi, zwrócili się ku innowacyjnym sposobom ekspresji. Artysta i jego koncepcja – stały się znacznie ważniejsze, niż sam wynik twórczej działalności. Chęć odejścia od wzniesionych ram doprowadziła do pojawienia się nowych gatunków.

Grafika 3D

Z niezwykłych obrazów w grafice 3D słynie sztuka XXI wieku. Wraz z rozwojem technologii komputerowej artyści zyskali dostęp do nowych sposobów tworzenia. Istotą grafiki 3D jest tworzenie obrazów poprzez modelowanie obiektów w przestrzeni trójwymiarowej. Służy ona do tworzenia programów, gier, obrazów i filmów na komputerze. Ale można ją również zobaczyć tuż pod stopami – na asfalcie.

Grafika 3D przeniosła się na ulice kilkadziesiąt lat temu i od tego czasu pozostaje jedną z najważniejszych form sztuki ulicznej. Edgar Muller, Eduardo Rolero, Kurt Wenner i wielu innych współczesnych artystów dziś tworzy sztukę, która może zaskoczyć każdego.

Sztuka uliczna

Ze względu na różnorodność form sztuka uliczna była czasami trudna do odróżnienia od wandalizmu. Wszystko zaczęło się w latach 70. ubiegłego wieku w Nowym Jorku. W tym czasie sztuka uliczna była w powijakach. Wspierali ją Julio 204 i Taki 183, którzy zostawili napisy w różnych miejscach swojej dzielnicy. Inne osoby postanowiły z nimi konkurować. Każdy starał się odkryć dla siebie i innych bardziej oryginalny sposób na pozostawienie swojego śladu.

Najbardziej znanym artystą ulicznym jest Banksy, który nazywa BlekRat swoim głównym nauczycielem. W swoich rysunkach, stworzonych przy użyciu szablonów, potępia współczesne społeczeństwo, ukazując jego wady. Ciekawostką jest fakt, że tożsamość Banksy'ego wciąż owiana jest tajemnicą. Nikt jeszcze nie był w stanie rozwiązać zagadki tożsamości artysty.

Anamorfoza

Tak nazywana jest technika tworzenia obrazów, w której można je zobaczyć w pełni tylko pod pewnym kątem. Jednym z najzdolniejszych przedstawicieli tego prądu jest Francuz Bernard Pras. Tworzy instalacje za pomocą tego, co przychodzi do ręki.

Suprematyzm

Twórcą suprematyzmu jest Kazimierz Malewicz, który był jego głównym teoretykiem. Głosił suprematyzm jako sposób na oczyszczenie sztuki ze wszystkich niepotrzebnych rzeczy. Odrzucając zwykłe sposoby przenoszenia obrazów, artyści starali się uwolnić sztukę od nieartystycznego świata. Najważniejszą



pracą w tym gatunku jest słynny „Czarny kwadrat” Malewicza.

Pop-art

W Stanach Zjednoczonych pop-art znajduje swoje początki. W latach powojennych społeczeństwo doświadczyło globalnych zmian. Ludzie mogli sobie teraz pozwolić na więcej. Konsumpcja stała się istotną częścią życia. Dobrostan człowieka otaczano kultem, a produkty konsumpcyjne – symbolami. Jasper Jones,

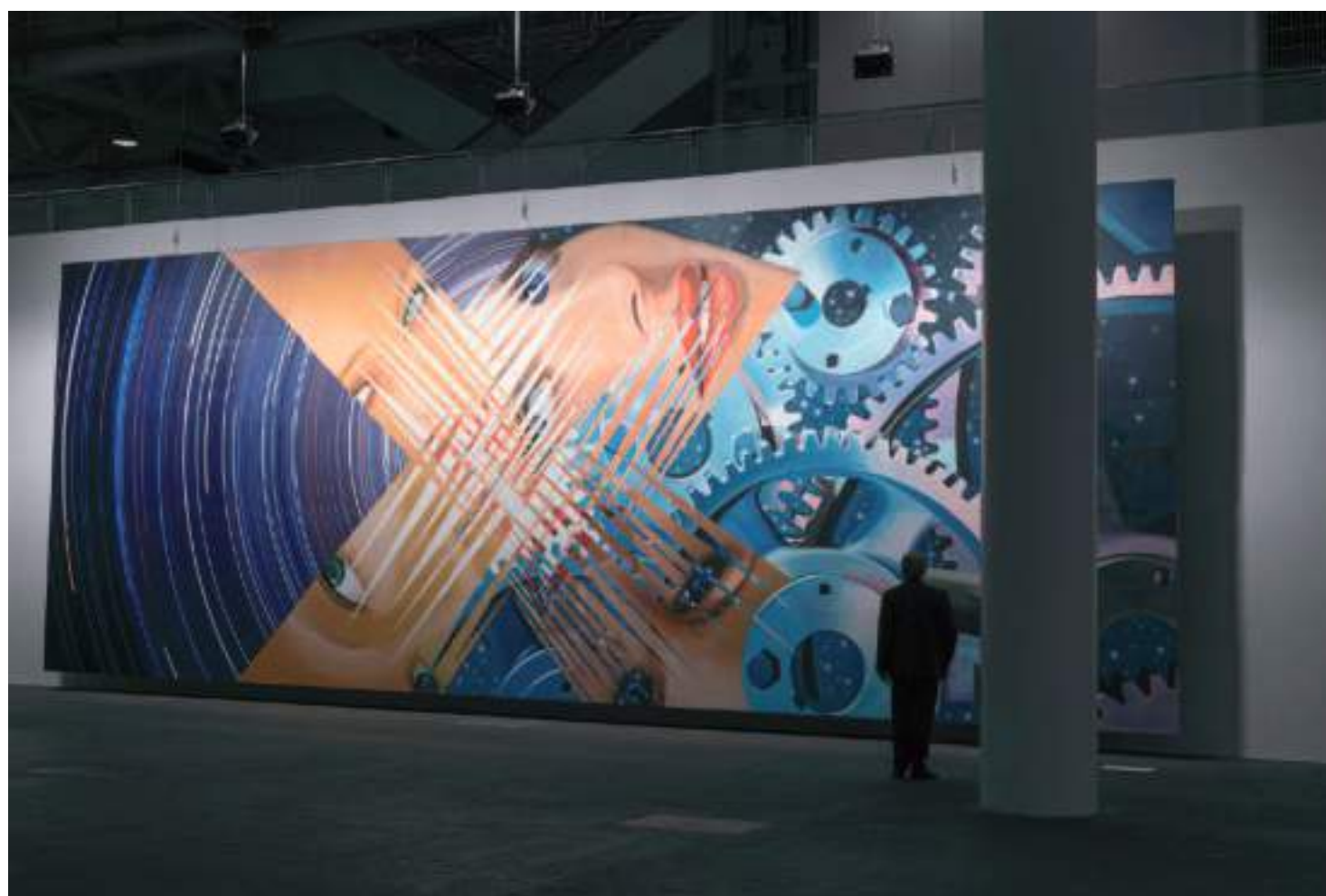
Andy Warhol i inni zwolennicy obecnego stanu starali się wykorzystać te symbole w obrazach.

Futuryzm

Futuryzm sięga 1910 roku. Jego główną ideą było pragnienie nowego i zniszczenia ram przeszłości. Artyści przedstawili tę aspirację za pomocą specjalnej techniki – ostre pociągnięcia, przepływy, połączenia i skrzyżowania. Najbardziej znanymi przedstawicielami futuryzmu są Marinetti, Severini, Carra.

Malarstwo XXI wieku – tajemnicze, niezrozumiałe, fascynujące – na zawsze zmieniło wektor rozwoju nie tylko odrębnej sfery, ale także całego życia ludzkiego. Odzwierciedla i tworzy nowoczesność w tym samym czasie. Ciągłe zmieniająca się sztuka pozwala zatrzymać się na chwilę stałe spieszącemu się człowiekowi, aby mógł przypomnieć sobie uczucia ukryte głęboko w duszy.

Darya BURDYKA
darbur3@st.amu.edu.pl



Zwykło się mawiać, że muzyka to lekarstwo dla duszy. Szczególnie adekwatnie brzmi to w tak trudnych dla nas wszystkich czasach. Z podobnego założenia prawdopodobnie wyszli Foo Fighters i po prawie czterech latach od ostatniego albumu wracają z nową płytą zatytułowaną „Medicine At Midnight” i tak, jak nas do tego przyzwyczaili, robią to w bardzo dobrym stylu.

Dla amerykańskiego zespołu nowa płyta jest podwójnie wyjątkowa. Przede wszystkim jest to ich jubileuszowy, dziesiąty już album, a po drugie jest okazją, by świętować dwadzieścia pięć lat istnienia grupy. Mało komu udaje się zbudować taką pozycję w świecie rocka i utrzymać ją przez tak długi czas. Powodów do radości więc wiele i słychać to w brzmieniu „Medicine At Midnight”, które od początku zapowiadane było jako album bardziej rozrywkowy, a zarazem eksperymentalny i zahaczający o klimaty popowe.

Coś dla nowych słuchaczy...

Odmienne styl od standardowego, szybkiego i ostrego rockowego grania Foo Fighters słychać już w otwierającym „Making A Fire”. Od pierwszych sekund czekają tu na nas radosne chórki, które przewijają się przez cały utwór, a gdy dodamy do tego okazjonalne sekcje klaskane, to otrzymujemy bardzo optymistyczną i wręcz imprezową kompozycję. Podstawą jednak cały czas pozostają solidne, rockowe zagrywki z wybijającym się ciekawym gitarowym riffem oraz pełen energii (jak zawsze) wokół Dave’a Grohla.

W podobne klimaty panowie uderzają jeszcze chociażby w „Holding Poison”, gdzie również wybija się na pierwszy plan radosny rytm utworu, choć nie brakuje większego pazura, nawet z fragmentem nieco metalowym. Słychać tutaj dużą eklektyczność i zabawę formułą. Pop-rockowo robi się również na zakończenie wraz z „Love Dies Young”, gdzie odnajdziemy inspiracje takimi zespołami jak The Cure czy The Killers. Zamknięcie albumu, mimo że żywiołowe, pozostawia pewien niedosyt, szczególnie w porównaniu do innych finalów wydawnictw Foo Fighters (takich jak „Walk” lub „Concrete and Gold”).

Eksperymentalnie robi się jeszcze mocniej w momentach bardziej stonowanych. Tytułowy utwór jest kompozycją osadzoną mocno w brzmieniu typowym dla piosenek Davida Bowie, co zresztą nie dziwi, gdyż Foo Fighters wprost mówili, że album „Let’s Dance” Brytyjczyka był ich główną inspiracją. „Medicine At Midnight” jest przy tym najbardziej popowym fragmentem płyty, wykorzystującym krótkie zmiany tempa, oparte na klasycznym, a momentami wręcz bluesowym riffie gitarowym. „Shame Shame” to z kolei jeszcze inna koncepcja, bardziej tajemnicza, w ciekawy sposób implementująca skrzypce i wiolonczelę, dokładającą do tego silną partię gitarową.

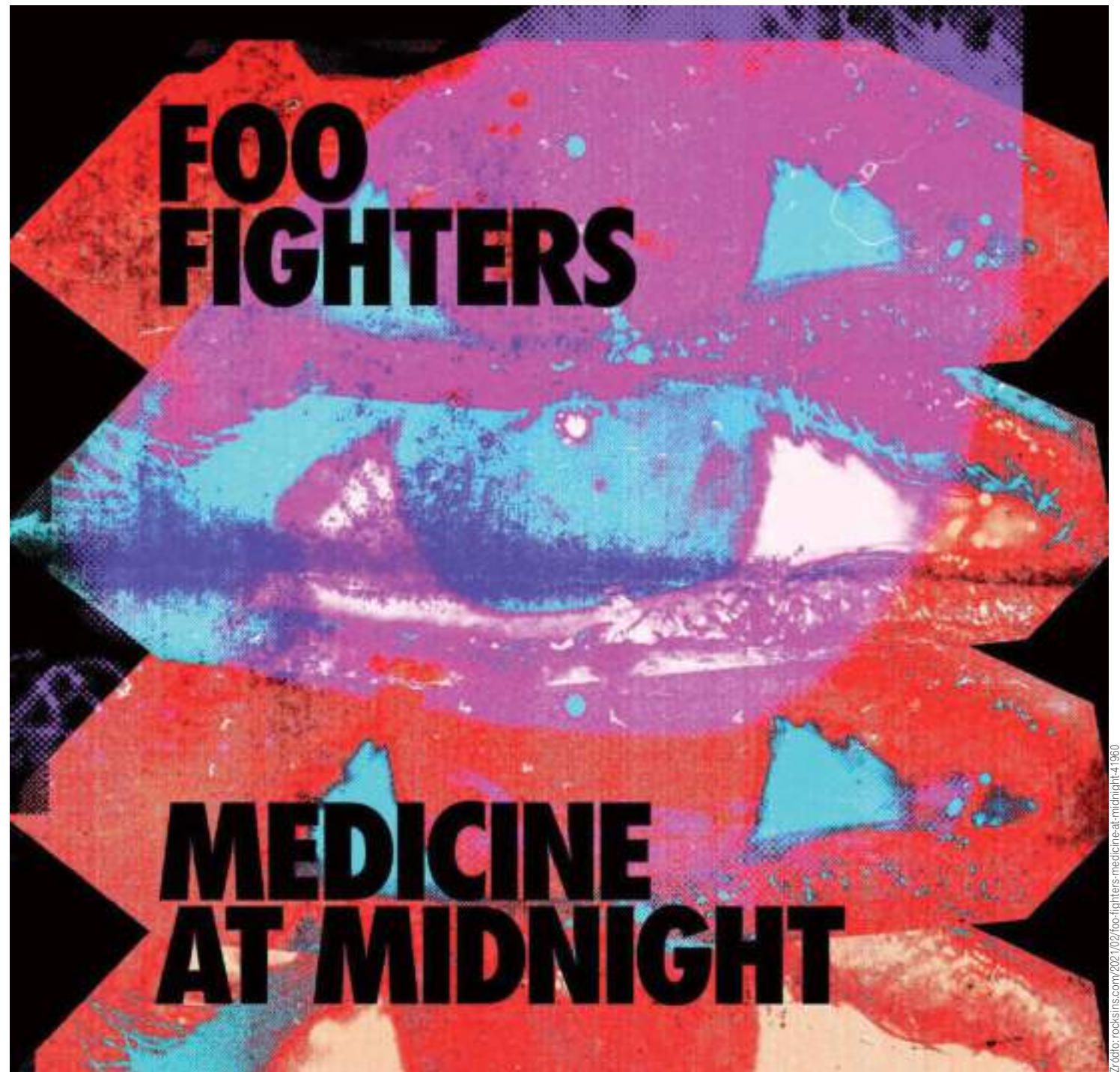
... i coś dla fanów

Dave Grohl i spółka nie byliby sobą, gdy nie pokusili się o kilka numerów, które są pewniakami w ich repertuarze. Do takich zaliczyć możemy mojego absolutnego faworyta, czyli „Cloudspotter” - utwór pełen energii i niemal czystego, rockowego grania z funkowymi wtrętami. „No Son Of Mine” natomiast to najcięższa kompozycja na albumie, przypominająca trochę twórczość Motorhead. Wydaje mi się przy tym najbardziej typowa dla Foo Fighters - to tu zespół nawiązuje do swojego standardowego grania najmocniej i pod żadnym pozorem nie jest to ujma dla tej piosenki.

Nie brakuje również chwilowych zwolnień i uspokojenia, bo taką funkcję pełni „Chasing

Rock na trudne chwile

Recenzja płyty „Medicine At Midnight” Foo Fighters



Oko Horusa na okładce nie pojawia się przypadkowo

Birds”. Kojący w tym wypadku wokół idealnie współgra z sielankowym motywem muzycznym napędzanym głównie przez gitarę akustyczną. Czuć tutaj nutkę inspiracji The Beatles. Jest to utwór rozwijający skrzydła z każdą kolejną częścią. Podobnie można powiedzieć zresztą o „Waiting On A War”, z tym zastrzeżeniem, że ta piosenka przechodzi metamorfozę ze spokojnej ballady do muzycznej jazdy bez trzymanki.

„Medicine At Midnight” pomimo posiadania kilku eksperymentów cały czas ma dużo do zaoferowania tym, którzy oczekują od nich starej, sprawdzonej formuły. Momentami może to wywołać wrażenie pewnej niespójności, ale ogólnie muzycy potrafili połączyć wszystko w całość w taki sposób, że obyło się bez większych zgrzytów. Sama płyta natomiast jest równa, brakuje jej jednak w moim odczuciu przynajmniej jednego bezapelacyjnego przeboju, z którym ta płyta mogłaby się kojarzyć.

Optymizm z dodatkiem refleksji

Optymistyczne usposobienie muzyczne przekłada się również na podobny klimat w tekstach, choć nie zawsze. Owszem, znajdziemy

utwory motywujące z elementami autoironii („Making A Fire”) czy poruszające trochę trudniejsze tematy, ale zakończone pozytywnym wnioskiem („Waiting On A War”). Nie brakuje jednak także smutnych i dołujących refleksji, chociażby tajemnicza i mroczna historia w „Shame Shame”, rozmyślenia marzyciela ze złamanym sercem w „Chasing Birds” lub rozliczenie z ludzką hipokryzją w „No Son Of Mine”. Ogólnie więc jest pod tym względem interesująco, ale na pewno nie odkrywczco.

Drugi raz z rzędu za produkcję albumu odpowiadał Greg Kurstin. Wielokrotny laureat nagrody Grammy, który zazwyczaj kojarzony jest ze współpracą z takimi wykonawcami jak Pink czy Adele, na „Medicine At Midnight” mógł zaistnieć bardziej niż przy poprzedniej współpracy z Foo Fighters. Głównie ze względu na popowe naleciałości albumu, a to właśnie w tej sferze Kurstin czuje się najlepiej. Technicznie płyta brzmi bardzo dobrze, dźwięk jest pełny i wyraźny. Momenty, w których najbardziej uwidaczniają się zabiegi producenta, to utwory lżejsze, przy których czuć zabawę formułą i próby sprawdzenia różnych chwytów.

To prowadzi do innego wniosku - przy tym albumie zespół po prostu dobrze się bawił. Nie ma

tutaj wymuszonych części, jest za to czysta radość i pasja z tworzenia muzyki. Przekłada się to na najkrótszą płytę Foo Fighters w historii, ale nie jest to wada. „Medicine At Midnight” jest po prostu treściwe i zamknięte w odpowiednim czasie.

Wejście z przytupem

Warto zauważyć, że cała płyta została ukończona jeszcze przed rozpoczęciem pandemii, więc nie można oczekiwać, by się do niej odnosiła. Może to i lepiej, bo dzięki temu dostajemy prawdziwie energiczną i optymistyczną dawkę muzyki. Nie pozbawionej wad, ale zgrabnie łączącej imprezowe eksperymenty z solidnym rockowym graniem. Na pewno nie zostanie ona płytą legendarną, ale także nie będzie zapomniana. Foo Fighters wchodzi w kolejną dekadę w dobrej formie i pokazują, że cały czas mają wiele ciekawego do zaoferowania. A dla słuchaczy „Medicine At Midnight” może być dobrą odtrutką i powiewem radości w tych nie najlepszych czasach.

Ocena: 8/10

Wiktor KĘPIŃSKI
wikkep@st.amu.edu.pl

Biały dym w siedzibie PZPN-u!

Sousa nowym selekcjonerem reprezentacji Polski!

Polski Związek Piłki Nożnej oficjalnie potwierdził zakończenie współpracy z Jerzym Brzęczkiem. Decyzja nie powinna nikogo dziwić, ale czas jej podjęcia już może. Prezes Zbigniew Boniek spełnił kilkuletnią wolę środowiska i sięgnął po trenera zza granicy, Portugalczyka Paulo Sousę.

Jerzy Brzęczek poprowadził kadrę w 24 meczach. Wygrał 12 z nich, pięciokrotnie zremisował i siedem razy przegrał. Udało mu się zakwalifikować na mistrzostwa Europy. Patrząc na suche liczby, dojdziemy pewnie do wniosku, że dobrze wywiązywał się ze swoich obowiązków, ale zajrzyjmy nieco głębiej. Polska zakończyła eliminacje do Euro na pierwszym miejscu w grupie, zdobywając 25 na 30 punktów. Wynik jest naprawdę imponujący, dopóki nie spojrzymy na klasę rywali. Austria, Macedonia Północna, Słowenia, Izrael i Łotwa to kraje, które mają zdecydowanie mniejszy potencjał piłkarski i wygranie z nimi nie powinno stanowić żadnego problemu. Kadra Brzęczka tryumfowała, ale jej styl pozostawiał wiele do życzenia. Jasne, można stwierdzić, że przecież to wyniki są najważniejsze przy ocenie pracy trenera, ale ten brak stylu dał o sobie znać w meczach z europejską czołówką. Polacy nie mieli żadnych argumentów w ostatnich spotkaniach z Włochami i Holendrami, którzy przewyższali nas o co najmniej dwie klasy. Zbigniew Boniek zachowywał jednak spokój i w listopadzie, po ostatnim meczu kadry w 2020 roku, zapewnił, że nie rozważa zwolnienia Jerzego Brzęczka. Środowisko piłkarskie od dłuższego czasu widziało, że drużyna pod wodzą tego selekcjonera nie jest w stanie zrobić skoku jakościowego, rozwijać się. W ten sposób pokolenie utalentowanych piłkarzy, grających na co dzień w najlepszych ligach w Europie, po prostu się marnowało. Dwa miesiące po ostatnim meczu prezes Boniek zaskoczył wszystkich. Podjął decyzję o zwolnieniu Brzęczka, gdy każdy był już nastawiony na to, że to właśnie były trener Wisły Płock poprowadzi nas na Euro.

Do mistrzostw Europy pozostało niespełna pięć miesięcy. To bardzo mało czasu. Każdy dzień jest na wagę złota. Straciliśmy cenne dwa miesiące. Wiele wskazuje na to, że Sousa będzie chciał budować reprezentację od nowa. Czego możemy się zatem spodziewać? Paulo Sousa to trener, który w trakcie meczu zazwyczaj używa dwóch formacji: 4-4-2 w fazie obrony i 3-4-2-1 w fazie ataku. Warto zwrócić uwagę przede wszystkim na formację trójką z tyłu, której nie mieliśmy jeszcze okazji oglądać w wykonaniu biało-czerwonych. Reprezentacji Brzęczka zarzucano, że nie potrafi być elastyczna. Były selekcjoner stosował formację 4-2-3-1, która jest już czytelna i znacząco ułatwiała przygotowanie się rywalom. Formacja Sousy ma dodać świeżości reprezentacji. Media od jakiegoś czasu sugerowały, że warto uczyć się grać tą formacją, ponieważ w końcu mamy do tego odpowiednich wykonawców. Ustawienie trójką z tyłu jest najczęściej wykorzystywane we Włoszech, gdzie mamy wielu swoich reprezentantów. Nawet linię obrony można by było złożyć w oparciu o samych piłkarzy z Serie A (Glik, Walukiewicz i Dawidowicz, który nie był powoływany, ale znakomicie radzi sobie właśnie w tej formacji). Boczni obrońcy, czyli w tym przypadku wahadłowi, muszą cechować się znakomitą przygotowaniem motorycznym i dobrą grą w ofensywie. W obronie zawsze są oni asekurowani przez półlewego lub półpraweego środkowego obrońcę, lub środkowego pomocnika. Jest to szansa dla Arkadiusza Recy, który gra na tej pozycji we włoskim Crotone, ale również dla Tymoteusza Puchacza z Lecha Poznań, który ma idealne cechy do tej roli. Po drugiej stronie Bartosz Bereszyński z Sampdorii i Tomasz Kędziora z Dynamo Kijów również nie powinni mieć problemu ze zrozumieniem tego ustawienia. Kibice reprezentacji mają również nadzieję, że Sousa będzie w stanie w pełni wykorzystać potencjał Piotra Zielińskiego, świetnego piłkarza, który błyszczy w barwach Napoli, ale ma z tym problem w reprezentacji. Portugalczyk stara się obserwować najbardziej unikatowe kluby. Duże wrażenie robi na nim styl RB Lipsk, czyli drużyny grającej bardzo nowoczesnie. U Sousy wahadłowi grają asymetrycznie, podobnie jak w niemieckim klubie. Więcej zadań ofensywnych ma piłkarz wystawiony po lewej stronie boiska. Prawy wahadłowy ma więcej obowiązków w obronie.



Paulo Sousa w roli trenera Fiorentiny

Największymi sukcesami Paulo Sousy w trenerskiej karierze są dwa mistrzostwa kraju: Szwajcarii z FC Basel i Izraela z Maccabi Tel Aviv. Ponadto raz zakwalifikował się do fazy grupowej Ligi Mistrzów i awansował z niej do fazy pucharowej, a także cztery razy wystąpił w fazie grupowej Ligi Europy (trzy z nich zakończyły się awansem). Podczas swojej kariery pracował w siedmiu różnych krajach. Ma ogromne doświadczenie, którego zabrakło jego poprzednikowi. Prowadził zespoły z topowych lig europejskich: Fiorentinę i Girondins Bordeaux. We Florencji radził sobie naprawdę dobrze. W połowie sezonu był liderem Serie A i walczył o mistrzostwo Włoch, ostatecznie kończąc rozgrywki na 5. miejscu. Tego wyniku „Violi” nie udało się później powtórzyć, więc trzeba go traktować jako sukces. Portugalczyk postanowił spróbować swoich sił w Azji, gdzie objął chiński Tianjin Tianhai. Wybór na pewno był podyktowany chęcią zwiększenia zarobków, sportowo nie odniósł tam żadnych sukcesów. Wrócił do Europy i objął Bordeaux, ale w zespole „Żyrondystów” też nie radził sobie za dobrze. Najlepszy okres w swojej karierze miał przed opuszczeniem Fiorentiny. W reprezentacji Polski będzie walczył o odbudowanie swojej pozycji na rynku.

Paulo Sousa był świetnym piłkarzem. Występował na pozycji środkowego pomocnika. Grał bardzo dojrzałe, dobrze

rozumiał futbol, już wtedy myślał jak trener. Jest w wąskim gronie czterech piłkarzy, którzy wygrali Ligę Mistrzów dwa razy z rzędu w barwach dwóch różnych klubów. W jego przypadku był to Juventus i Borussia Dortmund. Oprócz tego może się pochwalić Pucharem Interkontynentalnym (obecnie Klubowe Mistrzostwa Świata), mistrzostwami Portugalii i Włoch, a także mistrzostwem świata do lat 20. Potrafi zatem rozstrzygać wielkie mecze na swoją korzyść. Nie przestraszył się Hiszpanii w fazie grupowej na Euro.

Głównym argumentem osób sceptycznie nastawionych do zatrudnienia Sousy jest brak doświadczenia w prowadzeniu reprezentacji. Na początku swojej kariery przez kilka miesięcy był jedynie asystentem Carlosa Queiroza w reprezentacji Portugalii. Weźmy jednak pod uwagę, że na rynku było niewiele lepszych opcji od Sousy. Trenerzy ze ścisłego topu są dla nas nieosiągalni i przeważnie wolą pracować w klubach. Portugalczyk raczej nie zrobi z naszej reprezentacji światowego giganta, ale może zapewnić nam pożądany spokój i sprawić, by gra kadry znów cieszyła oko kibica.

W wieku 75 lat zmarł najwybitniejszy polski kolarz w historii Ryszard Szurkowski. Był wielokrotnym medalistą mistrzostw świata oraz mistrzem olimpijskim. Na swoim koncie ma także cztery wygrane w Wyścigu Pokoju. Jego pozostałe osiągnięcia można wymieniać godzinami. Kilka lat temu uległ groźnemu wypadkowi podczas wyścigu weteranów w Kolonii, przez co musiał poruszać się na wózku inwalidzkim. Jest uważany za jednego z najwybitniejszych kolarzy amatorów w całej historii.

Początki

Urodził się 12 stycznia 1946 roku w Świebodowie, gdzie wychowywał się w wielodzietnej rodzinie. Ukończył liceum ogólnokształcące we Wrocławiu, a później Akademię Wychowania Fizycznego w tym samym mieście. Jego pierwszym kolarskim trenerem został Ryszard Swat w Radomiu. Znalazł się w tej miejscowości, ponieważ niedaleko odbywał zasadniczą służbę wojskową. Po jej wypełnieniu wrócił do Wrocławia, gdzie zaczął trenować w klubie KS „Dolmel”. W 1968 roku był najlepszy podczas Mistrzostw Polski w kolarstwie przełajowym oraz zajął 4. miejsce w Mistrzostwach Polski w wyścigu ze startu wspólnego. Po tych sukcesach został włączony do kadry narodowej.

Legenda Wyścigu Pokoju

Ryszard Szurkowski pierwszy raz wystartował w Wyścigu Pokoju w 1969 roku i od razu zajął drugie miejsce za Francuzem Jean-Pierrem Danguillaumem. Dwanaście miesięcy później był już bezkonkurencyjny i wygrał w cuglach. Potem jeszcze trzykrotnie okazywał się najlepszym – w 1971, 1973 oraz 1975 roku. Przez długi czas należał do niego rekord końcowych zwycięstw w klasyfikacji generalnej. Udało się go poprawić dopiero w 2003 roku Steffenowi Wasemannowi. Ale są inne rekordy Szurkowskiego, których nie udało się pobić do końca istnienia Wyścigu Pokoju. Pierwszym z nich to liczba etapów przejechanych w ko-

Żegnaj Mistrzu



Ryszard Szurkowski był mistrzem świata w kolarstwie

szulce lidera oraz najdłuższe łączne posiadanie koszulki najlepszego górala. W całej historii swoich startów w wyścigu Polakowi udało się wygrać 13 odcinków.

Najlepszy na świecie

Trzy razy zostawał mistrzem świata. Pierwszy złoty medal zdobył w jeździe drużynowej na czas podczas mistrzostw w Barcelonie 1973 roku, gdzie jechał wraz ze Stanisławem Szozdą, Tadeuszem Mytnikiem i Lucjanem Lisem. Kilka dni później dołożył drugie złoto w wyścigu ze startu wspólnego, gdy świetnie rozegrał końcówkę ze Szozdą, który sam zdobył srebro. Kolejny krążek z najcenniejszego kruszcu zdobył dwa lata później podczas czempionatu w Yvoir. Tym razem ponownie triumfował w jeździe drużynowej na czas. Razem z nim kolejne złoto zdobyli Szozda i Mytnik, a Lisa w składzie zastąpił Mieczysław Nowicki. Ryszard Szurkowski ponadto zajął jeszcze drugie miejsce z wyścigu ze startu wspólnego podczas mistrzostw w

Montrealu, gdzie musiał uznać wyższość Janusza Kowalskiego. Na Igrzyskach Olimpijskich dwa razy zdobywał srebrny medal w ulubionej specjalności Polaków w tamtym okresie – jeździe drużynowej na czas. Owe krążki dopisał do swojej kolekcji w 1972 roku (Monachium) oraz 1976 roku (Montreal).

Kariera trenerska oraz rola działacza

Po zakończeniu sportowej kariery Szurkowski w latach 80. został trenerem kadry narodowej. Jego najlepszym podopiecznym był Lech Piasecki, który wygrał Wyścig Pokoju i został mistrzem świata. Ponadto prowadzona przez niego reprezentacja zajęła drugie miejsce podczas Igrzysk Olimpijskich w Seulu w drużynowej czasówce. Niestety przestał prowadzić kadrę z powodu konfliktu ze związkiem kolarskim. Później założył własny klub sportowy oraz był dyrektorem podczas trwania Wyścigu Pokoju, gdy ten przejeżdżał przez Polskę. Od marca 2010 do marca 2011 roku był także prezesem Polskiego Związku Kolarstwa. Ryszard Szurkowski próbował swoich sił w polityce. W latach 1985-1989 był bezpartyjnym posłem na Sejm RP. Później kandydował jeszcze w 2005 roku, ale nie udało mu się uzyskać mandatu.

Wypadek

Szurkowski często brał udział w wyścigach weteranów. Bardzo lubił w nich startować, ponieważ mógł spotkać starych znajomych w tras kolarskich. Podczas jednego z takich startów w Kolonii w 2018 roku zaliczył groźny upadek, który okazał się fatalny w skutkach. Jego rdzeń kręgowy został zmiążdżony i od tego czasu zmuszony był poruszać się na wózku inwalidzkim. Przechodził zmuszoną rehabilitację, która zaczęła dawać efekty. Gdy zaczęło pojawiać się światło w tunelu, to w swoje szpony wziął go nowotwór. Ryszard Szurkowski nie dał rady pokonać najważniejszego etapu w swoim życiu i zmarł 1 lutego br. w szpitalu w Radomiu. Legendarny polski kolarz spoczął na cmentarzu w Wierchowicach. Pośmiertnie został uhonorowany Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

Kacper TYCZEWSKI
kactyc@st.amu.edu.pl

Stary człowiek i może?

Powrót Fernando Alonso do Formuły 1

Gdy w 2018 Fernando Alonso ogłosił odejście z Formuły 1, hiszpański kierowca stwierdził, że bardziej mówi „na razie” niż „żegnajcie”. Jak się okazało, niełatwo było mu się rozstać z tym sportem i w sezonie 2021 ponownie zobaczymy Fernando za kółkiem bolidu F1.

Sentymentalny powrót

Fernando Alonso w Formule 1 to już pewna marka. Dwukrotny mistrz świata z lat 2005 oraz 2006 jest powszechnie uznawany za jednego z najlepszych w dziejach F1. W czasie swojego pierwszego pobytu w padoku w latach 2001-18 Fernando rywalizował chociażby dla takich zespołów jak Renault, z którym zdobył swoje dwa tytuły mistrzowskie, ale także dla takich kultowych zespołów jak McLaren czy Ferrari. W swojej karierze Fernando rywalizował między innymi z Michaeliem Schumacherem, Kimim Raikkonenem, Lewisem Hamiltonem, Robertem Kubicą czy Sebastianem Vettelem. Jednak o ile Hiszpan wciąż był wyjątkowo zdolnym kierowcą, jego bolidy nie zawsze wydawały się konkurencyjne. Ostatnie 4 lata pierwszego okresu jazdy w Formule 1 były przepełnione rozczarowaniem oraz złorzeczeniem na awaryjny oraz słaby wówczas silnik Hondy, napędzający McLarena Alonso w latach 2015-17. Ostatni rok, w którym McLaren przesiadł się na silniki Renault, przyniósł wyższe rezultaty, jednak bolid nie był na tyle rozwinięty, by Fernando mógł stawać na podium. Wówczas Alonso postanowił odpocząć od Formuły 1 i zaczął jeździć w innych seriach wyścigowych. Został choćby mistrzem serii długodystansowej WEC (wygrał również słynny 24-godzinny wyścig Le Mans), startował także bez powodzenia w wyścigu Indianapolis 500 oraz przetestował się za kierownicą rajdówki w Rajdzie Dakar. Jednak, jak się okazało, Formuła 1 wciąż pozostała ważna dla Fernando, i postanowił wrócić. Powrót stał się faktem już w zeszłym roku, gdy w wyniku kilku transferów w maju ubiegłego roku w Renault zwołało się miejsce po odchodzącym do McLarena Danielu Ricciardo. Przejście australijskiego kierowcy dało Alonso możliwość powrotu, którą Hiszpan postanowił wykorzystać, i 8 lipca został ogłoszony jako następcą Ricciardo. W międzyczasie podjęto również decyzję o przemianowaniu zespołu na Alpine, w na-

wiązaniu do marki samochodów sportowych, której właścicielem jest Renault.

Intensywne przygotowania

Wraz z ogłoszeniem powrotu Fernando od razu rozpoczął pakiet przygotowań. W ich ramach Alonso wziął udział chociażby w dwudniowych testach prowadzonych przez jego zespół w Bahrajnie, gdzie przejechał 93 okrążenia na torze Sakhir. Oprócz tego przed ostatnim wyścigiem sezonu w Abu Zabi jeździł swoim mistrzowskim bolidem z 2005 roku. W końcu wziął udział także w posezonalnych testach młodych kierowców, co wywołało kontrowersje ze względu na to że sam Fernando, w chwili powrotu będzie miał 39 lat przez co będzie drugim najstarszym kierowcą w stawce (Alonso ustępuje tu tylko wspomnianemu wyżej Raikkonenowi), podczas gdy większość kierowców na testach była o około 20 lat młodsza od Fernando(!)

Powrót w bardzo ciasnym środku stawki i w przededniu rewolucji

Alonso powraca w dość ciekawym momencie. Po sezonie 2020 Mercedes umocnił się jako niezagrożony lider, którego próbuje gonić Red Bull. Ferrari zanotowało najpoważniejszy spadek od lat i zajęło dopiero 6. miejsce, co jest skutkiem oskarżeń o oszustwa silnikowe. Zespół Alonso zajął 5. miejsce, choć do końca walczył z McLarenem i zespołem Racing Point (od sezonu 2021 Aston Martin) o 3. miejsce w tabeli. I, o ile ze względu na ograniczenie rozwoju samochodów w tym sezonie wydaje się że pierwsza dwójka się nie zmieni, to środek stawki w którym znajdzie się Alonso będzie miejscem zaciętej rywalizacji. Wszystkie te zespoły ściągnęły do swoich szeregów powszechnie cenionych kierowców – McLaren ma Ricciardo (dodatkowo brytyjski zespół wrócił w tym sezonie do silników Mercedes), Alpine ma Alonso, a Aston Martin ściągnął odchodzącego z Ferrari Vettela. Dodatkowo Ferrari twierdzi że rozwiązało swój problem z silnikiem i w tym sezonie powróci do rywalizacji z przodu stawki, a Włosi mogą się także pochwalić bardzo silnym składem kierowców (Charles Leclerc oraz Carlos Sainz, obydwaj stali się bar-



Fernando Alonso podczas przejazdu swoim mistrzowskim bolidem z 2005 roku w Abu Zabi

dzo widoczni w ciągu ostatnich dwóch lat). Kolejną rzeczą zostaje również rewolucja techniczna w Formule 1 w 2022 roku, które mają poprawić jakość widowiska i mają być przyczynkiem do silniejszej rywalizacji o mistrzostwo. Zapowiadane zmiany miały mieć miejsce już w tym roku, jednak pandemia COVID-19 je spowolniła. Alonso przyznał że widzi potencjał w tej rewolucji i stwierdził że sezon 2022 może być „loterią”. Sam zespół Alpine również ma potencjał co udowodniły trzy podia zespołu: dwa zdobyte przez Ricciardo oraz jedno zdobyte przez przyszłego partnera zespołowego hiszpańskiego kierowcy – Estebana Ocona.

Wypadek na ostatniej prostej

Wieczorem w czwartek 11 lutego dotarła jednak szokująca wiadomość. Alonso został potrącony przez samochód podczas jazdy na rowerze niedaleko swojego szwajcarskiego domu. Do mediów zaczęły docierać sprzeczne informacje na temat stanu zdrowia. Na szczęście w piątek potwierdzono że Fernando nie grozi utrata życia lub zdrowia, choć musiał zostać poddany operacji korekcyjnej pękniętej górnej szczęki. Lekarze są spokojni o kierowcę i poinformowali, że postępy w zdrowieniu są szybkie. Sam kierowca podziękował za wsparcie i napisał że czuje się w porządku i już oczekuje na pierwszy wyścig sezonu. W tej sytuacji pozostaje życzyć Fernando szybkiego powrotu do pełni sprawności oraz udanego powrotu na tor. Pierwszy wyścig sezonu odbędzie się w Bahrajnie już niedługo – 28 marca.

Bartosz Kabaciński
barkab1@st.amu.edu.pl